KWIECIEŃ — MIESIĄCEM PAMIĘCI NARODOWEJ

DUNAJEC

NOWOSĄDECKI MAGAZYN ILUSTROWANY

Kwiecień 1980 Cena 4 zł

„Podhalańczycy" w Poroninie Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

JERZY MASIOR

W marszu na zachód

Był las
sosnowy
nad Oką
i było ruskie
pole
szerokie,
i był mój szynel
wiatrem podszyty,
i był karabin
bólem nabity.
Szło wojsko polskie
przez ruski step –
w żołnierskim worku
granat i chleb,
w żołnierskiej piersi
żołnierskie serce
i z Oki woda
w polskiej manierce.
Chleb czarny
pachniał
tak jak w Ojczyźnie,
każdy krok zbliżał,
jak szwy na bliźnie,
każdy krok krwawił,
niósł w niecierpliwość,
niecierpliwością
serce nam dławił.
Szło wojsko, szło,
ku Wiśle szło,
jej modre tonie
wymieszać z krwią,
pazury wedrzeć
w piaszczysty brzeg,
w macierzankowym
lec aksamicie...
by ponad życie
ponad obłoki
przez kraj ten ojców
zbożny – szeroki
z naszego marszu
znoju i krwi
w ojczysty błękit
strzeliła ona –
krwią purpurową
i cichą bielą,
chlebem święcona
Biało–czerwona.

Zbigniew Siatkowski

PAMIĘĆ

Wnikam w siebie, przeszukuję to, co wrażliwość zanotowała mi kiedyś w mózgu. Wmyślam się w nagromadzone. Obrazy, dźwięki, słowa, abstrakcje i znowu mikrodrobiazgi. Przypominam sobie twarz mojej matki. Kształt podbródka, usta, brwi, oczy. Zwłaszcza oczy: ich barwa i blask. Taka była. Utrwalić, ocalić; nie dopuścić, ażeby mi obraz się zatarł. Niech trwa — ciągły i oby jak najdłużej intensywny. Moja matka będzie żyć we mnie, dopóki ją potrafię pamiętać. Ją — a nie tylko o niej pamiętać. Ją: w niepowtarzalnej jej istocie, w jej prawdzie. To, abym pamiętał wiernie, ściśle, jest ważne. Już istnieje ktoś, komu ją — moją matkę, a jego poprzedniczkę w rodzinnej ciągłości — pewnego dnia będę musiał opowiedzieć, jeżeli ten nowo rosnący człowiek nie ma stać się jak kwiat, którego łodygę odcięli od głębokiego, życiodajnego korzenia.

To jedno. A teraz drugie. Była kiedyś wieś. Błotna i biedna. Trudna wieś. Ani mój syn, ani mój wnuk nigdy sobie tej wsi — takiej — prawdziwie nie wyobrażą. Gdyż ich wyobraźni zabraknie układu odniesienia. Widok wsi, w której biegałem na bosaka, a mój również bosy dziadek krowę pasał na przydrożnej fosie, oni — ci następni po mnie w sztafecie — będą sobie mogli skonstruować tylko podług filmów, i te wydadzą im się tendencyjne, propagandowo nadjaskrawe: przeciw feudalizmowi? przeciw kapitalizmowi? Bo jak można pojąć, by ludzie żyli w takim prymitywie: bez elektryczności i nawet bez nafty, bez radia i nawet bez gazety, bez mięsa i nawet bez chleba? Co to znaczy „puchnąć z głodu"? Jak to się robi?

Rzecz następna. Kamiennopopielate niebo pierwszego dnia listopada. Rok był czterdziesty drugi i pod tym chmurnym niebem, wduszony w ciżbę na cmentarzu małego miasta, najwcześniejszy raz za mojej pamięci usłyszałem prostą i dziwną pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy". Byłem tam z ojcem. Dowiedziałem się, że to chodzi o ojczyznę i że dwukolorowe chorągiewki na grobach też mają z tym związek.

Ojczyzna. Gdzie ona, czym ona jest? Czy jest w środkowej Europie, czy we wnętrzu ludzkim: twoim, moim, Agnieszki, Roberta, Ewy? W Życiu pospolitym — bądź raczej w książkach z orłem na obwolucie? Co się na nią składa najbardziej: krajobrazy? Przedmioty? idee? przeżycia? A jeśli przeżycia: to tylko te w naszym „teraz", czy także w minionym „wczoraj" naszych wcześniejszych? Mnożą się pytania, w wątpliwość podają standardową, jak chemolakiem ugładzoną naszą wiedzę. Czy to, cośmy powinni wiedzieć, wiemy na pewno i trafnie? Ot: czym było tak naprawdę, nie tylko w gazetach, lecz w piersiach ludzkich i ludzkich sumieniach, powstanie styczniowe. Albo — Wiosna Ludów. Albo — chochołowskie. Co z tego do dziś trwa: żywa krew czy druk w podręczniku? Co umiemy z tego przekazać następcom? Niełatwo w znakach szarawą farbą odbitych na lichym papierze wyczytać, wypatrzyć zakrzepłą krew odważnych aż do samozagłady. Czy oni — którzy już się minęli — są ojczyzną w równym stopniu co my?

Wierzę, iż są. Wiem to mocno i dowodnie. Chcę, by tak było. Choć wiem, że to wymaga wysiłku: oni go od nas wymagają. Wsłuchuję się w ich oddalony, lecz żywy głos i uczę innych tego wsłuchiwania się.

Pamiętania matki.

Jak mojej rodzinie, tak mojej ojczyźnie, ażeby trwała, potrzebna jest mądra pamięć. Bogata i wzbogacająca. W niej szansa. To dzięki solidarnej pamięci umiemy żyć ciągle — na przekór jednostkowym śmierciom. A Polska żyje wraz z nami, bo w każdym z nas — dopóki my żyjemy.

OPINIE

Rok Szymanowskiego

Za dwa lata Zakopane obchodzić będzie Międzynarodowy Rok Karola Szymanowskiego. Gotowy jest już projekt obchodów 100-lecia urodzin kompozytora, ściśle związanego ze stolicą Tatr.

Mówi kierownik muzeum w „Atmie" Maciej Pinkwart:

— Rok Szymanowskiego rozpocznie się w marcu 1982 r. w obsadzie międzynarodowej. Koncerty kameralne odbędą się w „Atmie", „Sabałówce", „Dworku Tatrzańskim", „Białej Izbie" i witkiewiczowskiej willi „Pod Jodłami". Przewidujemy łączenie muzyki z poezją. Koncerty w sali BWA połączymy z prezentacją prac współczesnych plastyków środowiska zakopiańskiego. Balet „Harnasie" zostanie zaprezentowany na Międzynarodowym Festiwalu Folkloru Ziem Górskich, gdzie jeden dzień corocznie poświęcony będzie muzyce, inspirowanej wątkami podhalańskimi. Przewiduje się zorganizowanie koncertu utworów Szymanowskiego w Słowacji podczas „Dni Kultury Polskiej", turnieju jego muzyki w szkołach muzycznych całego kraju z finałem w Zakopanem. Będą też widowiska regionalne, nawiązujące do tematyki jego utworów, międzynarodowe sympozjum, odczyty. Wystawa, zorganizowana przez Muzeum Tatrzańskie pokaże życie kulturalne Zakopanego, ekspozycja w „Atmie" — nieznane pamiątki po kompozytorze, a „Turnia" zobrazuje związki Szymanowskiego z góralami. Osobny numer „Podtatrza" poświęcony będzie kompozytorowi i zakopiańskiemu życiu muzycznemu w jego czasach, ZPAP ogłosił konkurs na plakat oraz na projekt medalu przyznawanego za propagowanie muzyki Szymanowskiego.

K. WESOŁOWSKI
„Gazeta Południowa"

Nie ma sprawy?

Kiedyś władze Zakopanego planowały, że otwarcia stałej wystawy pamiątek po Bronku Czechu w jego rodzinnym domu dokona słynny norweski narciarz Birger Ruud, którego łączyły z Czechem więzy serdecznej przyjaźni... Ale po pierwsze — było to 20 lat temu. Po drugie — donosiła o tym „Gazeta Krakowska". Zapewne więc chodziło o jeszcze jedną... kaczkę dziennikarską. Widocznie nie miało się nic w tym kierunku zmienić, bo nic się nie zmieniło. W ciasnym domu przy Placu Zwycięstwa nr 4 nadal jeden pokój jest na tyle obszerny, że mógłby służyć sprawie ekspozycji. Jest także, zgłoszona od lat przez siostry Czechówny, propozycja wniesienia odpłatności lokatorowi za inny, wybrany przez niego lokal, w zamian za zwolnienie jego pokoju. Zapewne jednak, tak na serio — „nie ma sprawy". Przynajmniej tam, gdzie być powinna, jest jakiś „pies pogrzebany".

Nie bez konkretnych korzyści byłoby zajęcie się całością tego problemu, i to kompleksowo. Tak przez naukowców, pedagogów, jak twórców mass media.

JOANNA IWASZKIEWICZ
„Kierunki"

Archipotworki

W dolinie Popradu w Nowosądeckiem przed kilku laty zbudowano wyjątkowo nieładny ośrodek w Suchej Strudze, który zniszczył jednorodny górski krajobraz tego regionu. W Szczawnicy postawiono wielopiętrowy gmach sanatorium „Hutnik", który też zeszpecił okolicę.

Podobnie w Piwnicznej czy w dolinie potoku Czercz. Jedynie Stary Sącz uniknął tych nieporozumień — tu umiejętnie wkomponowano w stare miasto, będące całe zabytkiem, osiedle domków jednorodzinnych mądrze wtapiając je w miejski zespół zabytkowy.

JAN URYGA
„Dziennik Ludowy"

Z dyskusji przedwyborczych

W Piwnicznej tematem codziennych rozmów są narzekania na źle funkcjonującą komunikację autobusową, fatalną łączność telefoniczną, szczupłą sieć placówek handlowych i kiepskie warunki pracy placówek służby zdrowia. Właśnie miejska przychodnia zdrowia będzie rozbudowywana o gabinety specjalistyczne i aptekę. Najbardziej mieszkańców Piwnicznej cieszy rozpoczęcie budowy osiedla mieszkaniowego „Uwrocie". Pierwsze ze 103 planowanych mieszkań będą gotowe jeszcze w br. Rozpoczęto również prace dokumentacyjne osiedli domków jednorodzinnych w rejonie ulicy Szczawnickiej, osiedli „Majerz" i „Brzanówki". Niedaleki jest czas, gdy Piwniczna wzbogaci się o salę kinową z prawdziwego zdarzenia, a stanie się to za sprawą rozbudowy budynku -siedziby UMG.

Miasto — gmina nie ukrywa, że przyszłość widzi w masowej turystyce. Wybuduje się m. in. dalsze wyciągi narciarskie — orczykowe, urządzi pola biwakowe w Rytrze i w okolicznych lasach.

(k-b)
„Gazeta Południowa"

Scena amatorska

W Nowosądeckiem teatry amatorskie mają długą tradycję. W tym roku 70-lecie działalności obchodzi wiejski teatr amatorski we wsi Szalowa, ponad 50-letnią historią szczycą się zespoły teatralne z Łużnej, Bukowiny Tatrzańskiej, Nowego Sącza. W Nowosądeckiem w społecznej służbie Melpomeny działa około 50 zespołów teatralnych, które zrzeszają ponad tysiąc aktorów-amatorów.

W kalendarzu dorocznych imprez kulturalnych i artystycznych województwa znajduje się kilka pozycji poświęconych amatorskiemu ruchowi teatralnemu. Co roku Czarny Dunajec jest miejscem spotkań zespołów, które przygotowują widowiska sceniczne oparte na tradycjach ludowych. Miejscem dorocznych przeglądów zespołów teatralnych województwa nowosądeckiego są Gorlice, zaś Zakopane pozostaje miejscem spotkań amatorskich kabaretów.

„Scena"

Społecznicy

W Czarnym Potoku ludzie chętnie wychodzą do czynu. Tak jest już od wielu lat. Dzięki czynom przede wszystkim mamy we wsi ośrodek zdrowia, dom strażaka. W ostatnim czasie dużo robimy przy budowie dróg we wsi. Jeśli potrzeba, ciągniki z całej wsi wożą wtedy materiał. Dużo robimy społecznymi czynami. Gdyby wszystko przeliczyć na złotówki, to za zeszły rok wypadłby prawie milion. Również i za produkcję dostaliśmy nagrodę w konkursie. Mamy w Czarnym Potoku świetnych sadowników. Mamy piękne sady i plantacje.

W Czarnym Potoku zostanie wybudowana duża przechowalnia owoców na 3 tysiące ton, powstaną dwa zbiorniki wody używanej przy opryskach.

(z wypowiedzi sołtysa wsi Czesławy Cycoń)

„Wieści"

„Gazeta Południowa" ogłasza IV Ogólnopolski Konkurs otwarty o nagrodę

imienia ADAMA POLEWKI

na prasową wypowiedź dziennikarską w formie felietonu, eseju, szkicu, reportażu, artykułu publicystycznego itp. pod hasłem:

„Nasze drogi i rozdroża"

Rozmiar, tematyka i charakter prac dowolna. Organizatorzy oczekują prac, ukazujących przeobrażenia współczesnej Polski, postawy ludzkie, konflikty i problemy związane z naszym czasem intensywnych przemian. Mają też nadzieję — uzasadnioną dorobkiem trzech pierwszych konkursów (wybrane reportaże ukazały się w książce „Corrida po polsku" nakładem KAW) — że nadesłane prace cechować będzie autentyczna, bezkompromisowa pasja, odwaga cywilna i temperament — tak, jak cechowały one Patrona konkursu.

Termin nadsyłania tekstów upływa dnia 10 maja 1980 r. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 21 czerwca, podczas „Dni Krakowa".

Suma nagród wynosi 72 tys. plus nagroda specjalna (8 tys. zł) Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica" w Krakowie — za najlepszą pracę poświęconą socjalistycznej kulturze.

W jury zasiada: **Stefan Kozicki, Klemens Krzyżagórski, Andrzej Kurz, Jerzy Lowell, Jacek Maziarski, Zbigniew Regucki, Janusz Roszko, Zbigniew Siatkowski i Ryszard Wojna.**

„Gazeta Południowa" zastrzega sobie pierwszeństwo druku prac. Uczestnicy proszeni są o nadsyłanie tekstów podpisanych godłem, w trzech egzemplarzach maszynopisu na adres redakcji: **„Gazeta Południowa" 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, z dopiskiem: Konkurs im. A. Polewki.** Do przesyłki należy dołączyć zaklejoną kopertę z godłem, zawierającą imię i nazwisko oraz adres i ewentualny telefon autora.

Stara Szczawnica **Fot. PAWEŁ GRAWICZ**

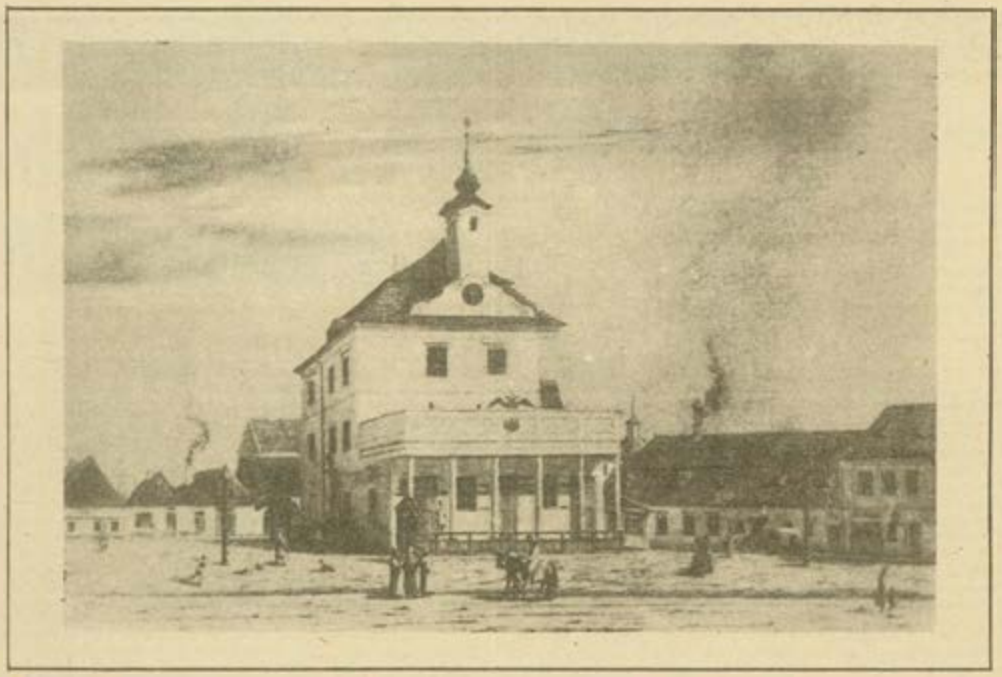

Na początku XX stulecia

Sądecka prasa donosiła:

Regulacja Dunajca, prowadzona od kilku lat kolosalnym nakładem, zasługuje na uwiecznienie w dziejach miasta Nowego Sącza. Cała bowiem robota, począwszy od jej idyotycznych planów, jest tak niedołężnie prowadzoną, że szkoda na nią każdego halerza. Przedewszystkim z powodu niedbalstwa zarządu gminy, skierowano łożysko Dunajca na stronę miasta, przez co zatopiona będzie cała dzielnica „Wulki"... Powiadają nie-technicy wodni, że za pieniądze, które pochłonęły dotychczasowe roboty można było mieć brzeg z muru betonowego, wały obsadzić wikliną i raz na zawsze zregulować prawą stronę Dunajca.

*

Żądamy, ażeby burmistrz, wiceburmistrz i I-szy asesor urzędowali podobnie jak reszta funkcyonaryuszy miejskich, a nie zaś przychodzili na godzinę, boć przecież rozum zdrowy mówi, że w godzinie trudno załatwić wiele i ważnych spraw, jakie napływają codziennie bądź ustnie, bądź pisemnie.

*

W Wielki Czwartek chorzy tutejszego szpitala powszechnego z obnażonymi głowami myli okna na parterze i I-szym piętrze. Zapytujemy niniejszym wydział szpitala: czy spełnianie takich robót przez chorych jest dozwolone, oraz kto ma nadzór nad chorymi w szpitalu?...

*

Rada miasta Nowego Sącza uznała jednomyślnie, że **piwo limanowskie** jest dobre i że podniesienie ceny tego piwa jest uzasadnionem. Podając uchwałę do wiadomości Szan. Publiczności nadmieniamy, iż odzywają się liczne głosy, aby zastrejkować względem piwa limanowskiego wobec nadchodzącej wiosny... Zobaczymy, kto silniejszy?

*

...Nowoczesnem żądaniem jest, aby wszelkie nauczanie w szkołach ludowych, średnich i wyższych było wolne od opłat oraz aby wszystkie ciężary i koszta połączone z nauczaniem, pokrywane były z ogólnych podatków, składanych przez całą ludność bez wyjątku — do skarbca publicznego.

*

Błagalną prośbę ślą do magistratu w Nowym Sączu właściciele gruntu na przedmieściu „Grodzkie" o przeprowadzenie bodaj jednej ulicy od Kaduka do Kolonii Kolejowej, gdyż obecnie dla braku drogi całe rzesze robotników i żołnierzy przechodzą przez zasiewy, wyrządzając im znaczne szkody.

*

Zarząd miejski powinien postarać się o urządzenie hal targowych, gdzie za drobną opłatą wynajmowanoby miejsca na sprzedaż wszystkich artykułów spożywczych. Dotychczas bowiem sprzedają część drobiu i nabiału w ulicy św. Ducha, gęsi i indyki na placu Kazimierza, ryby znów na Żydowskiej ulicy, jarzyny i owoce w rynku, a wszystkie te miejsca są nieodpowiednie, bo przejazd fur i ruch targowy naraża nasze panie na liczne wypadki i wywołuje zamieszanie...

*

...Starania właścicieli realności przy ul. Długosza o usunięcie ztamtąd domu publicznego odniosły pomyślny rezultat, z czego cieszą się wszyscy.

*

...Zaprzestać należy i zaniechać „straszenia" uczniów mających przystąpić do matury; obecnie coraz głośniejsze są narzekania na zbyt wymagającego profesora Błażeja Gawora, który suche i bezwartościowe szczegóły historyczne uważa jakby relikwie.

*

Seminaryum nauczycielskie męskie założonem będzie niebawem, według zapowiedzi ministra oświaty dra Hartla w Starym Sączu, po myśli wniosku fagasa stańczyków, posła Kramarczyka, dlatego w małym miasteczku, aby kandydaci nie przywykli do „lepszego życia".

*

Ulica Kąpielowa, dawniej Wałowa, prowadząca od ulicy Kościuszki, pod dom więźniów, w dnie targowe trudna jest do przebycia (bo pędzą nią dwa razy w tygodniu bydło na targowicę). O trotuarze ani deptaku nie ma mowy, bo **nie mieszka tam żaden „dygnitarz" magistracki.**

*

Rada miasta Nowego Sącza uchwaliła **wykonanie wodociągu** wedle projektu inżyniera Górskiego, którego koszta wynosić mają 1 milion 549 tysięcy koron.. Pod żałobnym znakiem komunikujemy naszym Obywatelom tę wieść hiobową, która rozgłośnym echem odbije się od gory Zabełcze do Gorzkowa, wstrząśnie całym miastem, a piersi zwyż 16 tysięcznej ludności napełni boleścią, żalem i rozpaczą. Rada miejska przyłożyła lekkomyślnie rękę do majątkowej ruiny obywateli... Niemamy dość słów wymownych do napiętnowania tego nierozważnego postanowienia.

*

Krążą pogłoski, że słynny z procesów sądowych inspektor szkolny w Nowym Sączu obitym został po fizyognomii na korytarzu Rady powiatowej.

*

Z Krynicy donoszą nam: Staraniem ruchliwego komitetu pod przewodnictwem p. dra Wąsowicza odbył się tutaj szereg uroczystości dla uczczenia stuletniej rocznicy naszego Króla Duchów. P. J. Pietrzycki wygłosił bardzo piękny odczyt p.t. „Z dziejów serca poety, kobieta i miłość w życiu Słowackiego". Dnia poprzedniego odegrano w teatrze „Księdza Marka". Patryotyczna publika Krynicy przoduje nam zawsze i przy każdej sposobności na polu narodowem.

*

...Zaprowadzenie oświetlenia elektrycznego w obecnym czasie walki o kawałek chleba dla tysięcy ludności w naszym mieście, przedstawia się podobnie, jak gdyby ktoś mając potargane buty — kupował sobie nowy kapelusz.

*

...Aż do skutku domagać się powinni zainteresowani obywatele bezzwłocznego założenia szkoły średniej w Nowym Targu i Gorlicach, zaś drugiej szkoły średniej w Nowym Sączu.

*

Donoszą nam, że **burmistrz Dr. Barbacki zabronił** w dzień św. Józefa grać muzykom po domach prywatnych, jak dotąd bywało w zwyczaju, pod grozą aresztowania. Nie wiemy dotąd, w czem zawinił św. Józef, że się p. burmistrz tak srogo na niego zagniewał i nawet muzyką uczcić nie pozwolił. Chyba chodzi mu o to, że mu nie Józef na imię. Ależ w takim razie tę samą urazę czuć może do niego św. Józef, że nie nazywa się Barbacki.

Wyboru z „Gazety Sądeckiej", „Mieszczanina" i „Sądeczanina" dokonał JERZY LEŚNIAK

Stary ratusz w Nowym Sączu i rynek miasta na początku naszego stulecia w reprodukcjach JOANNY GAJDY

PROSZĘ O GŁOS

Co z sądecką kulturą?

Nazwa „Dunajec" kojarzy się z czymś wartkim i czystym, z nurtem świeżym, wypłukującym rzeczy słabo związane z podłożem. Również skład zespołu redakcyjnego budzi nadzieję, że zyskaliśmy forum dla szczerej rozmowy o naglących sprawach społecznych.

Zwracam się przeto do red. Adama Ogorzałka, który nieraz suflował władzom Nowego Sącza dobre pomysły, by rozważył moje krytyczne spostrzeżenia, dotyczące życia kulturalnego w stolicy województwa i zrobił z nich stosowny użytek.

Chlubimy się żywym Muzeum Okręgowym i Parkiem Etnograficznym, zespołami pieśni i tańca, takimi jak Lachy, Sądeczanie, Podegrodzie czy Dolina Dunajca. Czy nie są to jednak tylko pozostałości po tłustych latach głośnego eksperymentu sądeckiego? Ludzie naładowani inicjatywą i zapałem przychodzili kiedyś do tutejszych urzędów z ciekawymi propozycjami. W nowym układzie administracyjnym coś się chyba przerwało w owej spontaniczności wobec spraw kultury. Utworzono sporo instytucji (WOK, MOK, GOK), którym nie można zarzucić braku aktywności, ale ich działalność przypomina zaprzęg znarowionych koni, z których każdy ciągnie w innym kierunku. Liczy się ilość imprez, a nie ich poziom i potrzeby odbiorców.

Nowy Sącz zaprasza np. ambitne zespoły muzyki kameralnej. Frekwencja świadczy jednak o słabo rozbudzonych zainteresowaniach publiczności. Równolegle prezentuje się folklor cygański i rozmaitych chałturników, którzy w drodze ku górom chętnie zarobią parę groszy. Nie ma natomiast niczego pośredniego między muzyką poważną a żenującą składanką estradową. Z zazdrością patrzę na zakopiański festiwal folklorystyczny, na „Sabałowe Bajania" i „Bukowiński Karnawał", na inicjatywy Rabki, Nowego Targu, Limanowej i Gorlic. U nas oprócz Święta „Gazety Południowej" i KRAM-u w Myślcu, z którego zawsze coś kapnie dla Nowego Sącza, właściwie nic godnego uwagi się nie dzieje. A przecież te dwa przedsięwzięcia też są starsze niż województwo. Z nowych zupełnie spraw da się właściwie wymienić tylko kabaret „Lach" i Klub MPiK.

Ogromne rezerwy tkwią w amatorskim ruchu kulturalnym. Właśnie Andrzej Górszczyk, twórca kabaretu i Edward Nitka, działający z pożytkiem wśród twórców ludowych pobliskiego Paszyna, pokazali, co może zrobić animator kultury. O autentycznych działaczach społecznych przypominają sobie władze od święta, nagradza się ich wtedy, honoruje... Chwała i za to, ale rok ma 365 dni i warto się zastanowić, jak ożywić ów amatorski ruch na co dzień. Może znalazłby się lokal — nie pałac, lecz skromny klub — dla spotkań, wystaw i rozmów licznych u nas twórców nieprofesjonalnych? Są strychy i piwnice w nowych osiedlach. Jest Klub Ziemi Sądeckiej, który nie spełnił chyba marzeń założycieli. Jest budynek na Plantach, mieszczący magazyny i pracownie dydaktyczne Kuratorium, które można przenieść gdzie indziej.

Następna kwestia: mamy Szkołę Muzyczną, orkiestrę dęta przy Technikum Elektrycznym, kółka dramatyczne w szkołach średnich... Czy nie warto pokazywać ich dorobku częściej — nie tylko na uroczystych akademiach?

Od paru lat istnieje u nas Studium Kulturalno-Oświatowe. Czy właściwie zatrudniamy jego absolwentów?

Kolejne pytanie: piękna po odnowieniu sądecka Starówka przyjęła w swe stylowe wnętrza z obca brzmiące HOT-DOGI, RYBEXY, BISTRA i RUMCAJSY. A przy najpiękniejszej ulicy miasta — żadnego klubu, w którym można odpocząć po beznadziejnej gonitwie za butami, rajstopami czy innymi artykułami handlowymi. Żadnej pracowni miejscowego artysty, otwartej dla publiczności.

Plastycy mają już możliwość eksponowania swych prac. Gorzej z młodymi poetami, piosenkarzami. Przydałoby się miejsce konfrontacji ich dorobku z dojrzałymi twórcami, krytykami i publicznością.

Telewizja, która poważnie ogranicza życie towarzyskie i czyni z nas jedynie konsumentów kultury, musi mieć alternatywę właśnie w postaci twórczych placówek i klubów, gdzie możliwe będzie spotkanie twarzą w twarz z drugim człowiekiem. I dlatego powierzam Panu swe wątpliwości. Na łamach „Gazety Południowej" podnosił Pan wielokrotnie te problemy i pora spytać, co „kupiły" dotychczas władze miasta. Zanim powstanie zapowiadane przez prezydenta Oleksego Centrum Kultury, warto upominać się u zakładów pracy, spółdzielczości, organizacji młodzieżowych o ciekawe inicjatywy pobudzające życie kulturalne.

Może „Dunajec" stanie się koordynatorem twórczych myśli ludzi, którym leży na sercu dobro Nowego Sącza?

FRANCISZEK PALKA
Nowy Sącz, ul. Nawojowska 21

„Oczyszczalnia rdzewieje"

W związku z artykułem red. Janusza Koszyka pt. „oczyszczalnia rdzewieje" zamieszczonym w „Dunajcu" — Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego, Architektury i Nadzoru Budowlanego w Nowym Sączu wyjaśnia:

W chwili opublikowania w/w artykułu Inwestor czyli Zarząd Krakowski ZSMP posiadał już wytyczne urbanistyczno-budowlane do projektowania oczyszczalni ścieków i kolektora sanitarnego w Grodku n/Dunajcem, wydane przez tutejsze biuro. Dlatego użyte w artykule określenie, że tutejsze biuro „uparcie milczy" nie odpowiada prawdzie.

Jednocześnie wyjaśnia się, że lokalizacja oczyszczalni ścieków została wstępnie ustalona w „Informacji o terenie" z dnia 9.11.1978 r. wydanej przez tutejsze Biuro w oparciu o ustalenia narady z dnia 16.03.1978 r., odbytej w Urzędzie Gminy w Grodku n/Dunajcem oraz zarządzenie nr 9/78 naczelnika gminy w Gródku n Dunajcem z dnia 12.08.78 r. w sprawie odstępstwa od obowiązującego planu ogólnego zagospodarowania przestrzennego jednostek osadniczych w otoczeniu Jeziora Rożnowskiego.

Ostateczne ustalenie lokalizacji nastąpi w formie decyzji, zatwierdzającej plan realizacyjny po jego przedłożeniu, jak również odpowiedniej dokumentacji, stanowiącej jego część integralną.

Za opóźnienie niniejsze — przepraszamy.

Dyrektor
mgr inż. arch. **ZENON TRZUPEK**
Główny Architekt Województwa

O tytułomanii

Zwraca „Dunajec" uwagę, że próżność ludzka jest odwieczna. Aliści przykład z cesarzem niezupełnie się do tego nadaje. Tytuł Najjaśniejszego Pana był równocześnie oficjalną nazwą podwójnej monarchii, każdy jego element miał jakieś historyczne uzasadnienie. Lepsze czy gorsze, ale jednak.

Czasy Apostolskiej Mości (taki tytuł Franciszek Józef Pierwszy też miał, jako król Węgier) były jawnie hierarchiczne, nikt podziałów stanowych i nierówności klasowych nie ukrywał pan był panem, koncypient koncypientem. Obecnie jest demokratyczna równość, a tytuły się plenia.

Jeśli zaś chodzi o cytowany przez pana tekst, to po polsku mówi się raczej o Morawach, nie Morawii; jest Piacenza i Guastalla, nie Piacenja i Gwastalia; wtedy była Zara, obecnie Zadar, ale nie Zadra; Łużyce, nie Luzacja, Bregencja nie Bregenc; wtedy Cattaro, dziś Kotor, a nie Kottar. Nie było też „itd. itd." tylko jeszcze: pan Fiume (dziś Rjeka) i pan Pogranicza Wojskowego. Kropka.

Proszę przyjąć najzupełniej demokratyczne wyrazy poważania.

MARCIN BOCHNAK

„Wrześniowe popołudnie"

Tak się złożyło, że ostatnio miałem liczne odwiedziny, przy których rozmowa schodziła także na temat „Dunajca". Opinie na ogół są pozytywne. Ale jest jeden artykuł, który bardzo „Dunajcowi" zaszkodził, a mianowicie artykuł Janusza Hańderka o nowotarskim gwałcie.

Chodzi nie o sam temat, choć były zdania, że jak na jeden numer — kryminałów stanowczo za dużo. Chodzi o sposób podania tego odrażającego i trudnego tematu. Hańderek rozmazał brudy na detale, zupełnie nikomu nie potrzebne, przy czym cieniutką i wątłą pointę moralną roztopił w powodzi tych właśnie detali. Poruszanie takiego tematu wymaga od piszącego wysokiej kultury i ostrożności w doborze sformułowań. A tego tym razem autorowi brakło.

JÓZEF BIENIEK

Kąpielisko dla samochodów

W ostatnim dniu stycznia Sejm uchwalił ustawę o ochronie i kształtowaniu środowiska, która powinna dać asumpt do wzmożenia rzeczywistych działań, zmierzających do zahamowania coraz bardziej odczuwalnej dewastacji naturalnego otoczenia człowieka. Choć ostatnio dużo się na ten temat mówi i pisze, to jednak efekty tego są — niestety — mało widoczne. Zbyt wiele czasu i zabiegów poświęca się deklaracjom i działaniom pozornym.

Nie musimy nikogo przekonywać, jak wiele mamy do zrobienia na terenie naszego województwa i miasta dla zachowania jego niepowtarzalnych walorów. Ot, choćby wołające o pomstę do nieba przekształcenie rzeki Kamienicy w masową myjnię samochodów.

Tereny nad Kamienicą od mostu na ul. Krańcowej aż do Jamnicy są ulubionym miejscem spacerów wielu mieszkańców naszego miasta. Zimą i latem — zwłaszcza po południu i w dni wolne od pracy — spotyka się tu spacerowiczów; bardziej wytrwali maszerują od mostu wiodącego na Gorzków, niektórzy aż do Jamnicy. Całe rodziny wypoczywają też w lasku pod Skałkami.

Te nieuporządkowane, malownicze tereny z szumiącą Kamienicą stanowią dla miłośników przyrody większą atrakcję niż wyasfaltowane i geometrycznie wytyczone alejki w parku miejskim. Latem rzeka jest ulubionym kąpieliskiem dzieci i młodzieży.

Jednakże nad tę właśnie rzekę urządzają coraz bardziej tłumny najazd posiadacze czterech kółek i myją w niej swoje pojazdy. Niektórzy wjeżdżają wprost do rzeki, inni tuż nad brzegiem obficie zlewają wozy, a woda z resztkami oliwy i smarów spływa do Kamienicy ku kąpiącym się opodal ludziom. Przy okazji kierowcy dokonują mniejszych i większych napraw, smarowań i konserwacji. Pozostają po nich brudne szmaty, opakowania po smarach, olejach, przeróżne rupiecie.

Ta — od dłuższego czasu obserwowana — praktyka przekształcania naturalnych terenów rekreacyjnych w myjnię i miejsce napraw samochodów pozostaje w jaskrawej sprzeczności z zasadą ochrony naturalnego środowiska człowieka i budzi zdecydowany sprzeciw jego miłośników.

ZYGMUNT BŁASZAK

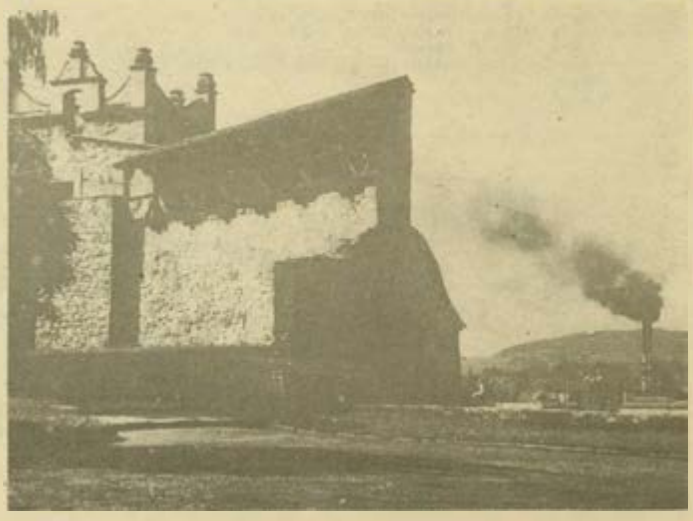

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Tadeusz Stec

MOZOLNE SZCZAWY BUDOWANIE

Wody mineralne ze zdrojów Szczawy znane były i stosowane jako środek leczniczy co najmniej już w XV wieku. Używał ich m. in. Jan Długosz, u którego znajdujemy wzmiankę o wodach „na Szczawie". Interesowali się nimi później tacy badacze jak Hacquet (1788—1795 r.), Stanisław Staszic (1815), Lewicki-Orłowicz-Praschil (1912) i F. Kmietowicz (1937 r.). Ten ostatni pisał: *Okoliczna ludność od dawna używa wód szczawskich na różne dolegliwości. Zwłaszcza w niedziele i święta zabiera setki butelek tej wody do domów w całych Gorcach.* Wody z tych źródeł eksploatowano przed ostatnią wojną, w niewielkim zresztą zakresie. Urządzenia uległy jednak z czasem dewastacji, a wojna przerwała także budowę pierwszego obiektu turystycznego.

Dopiero w 1962 roku pojawiła się w Szczawie grupa wiertników-balneologów, zwiastując tym samym niejako początek nowej karty w historii Szczawy. Trzy zdroje o udokumentowanych złożach: „Krystyna", „Hanna", „Dziedzila" są, jak się okazało, tak zasobne w wody lecznicze, iż stwarzają warunki do założenia tu dużego uzdrowiska. Dziś, po przeprowadzeniu różnych badań wiadomo, że wody Szczawy leczą choroby układu oddechowego, układu krążenia i schorzenia nerkowe.

Szczawa, jak widać, mimo iż nie ustępuje pod wieloma względami Szczawnicy czy Krynicy, została pod względem rozwoju zdystansowana przez nie o całe dziesięciolecia. Jałowe byłoby dziś roztrząsanie, dlaczego los okazał się mniej łaskawy dla Szczawy, choć z pewnością wiadomo, że zabrakło jej konkurencyjnych atutów, jak choćby odpowiednich połączeń komunikacyjnych.

Właśnie od budowy dróg, łączących Szczawę ze światem zaczęła się realizacja programu zagospodarowania Szczawy. Najważniejszym z połączeń stała się wybudowana w latach sześćdziesiątych droga na nieprzejezdnej przedtem całkowicie 30-kilometrowej trasie Kamienica — Szczawa — Lubomierz — Mszana Dolna. Skróciła ona przede wszystkim — w porównaniu z dawną drogą przez Nowy Sącz — czas podróży z Krakowa do Szczawy o blisko połowę, czyli prawie o dwie godziny.

Od tego czasu istotnie zaczęło się w Szczawie wiele dziać. Większością spraw związanych z prowadzeniem prac przygotowawczych zajmował się mgr **Władysław Faber**, pełniący wówczas funkcję przewodniczącego b. Powiatowej Komisji Planowania Gospodarczego w Limanowej (obecnie wicewojewoda nowosądecki).

Wysiłki te, mimo iż na prace przygotowawcze nie było pieniędzy, przynosiły jednak stopniowo oczekiwane rezultaty. Nie zabrakło bowiem entuzjastów rozwoju Szczawy, znaleźli się wśród nich także studenci i pracownicy naukowi Wojskowej Akademii Technicznej, Politechniki Krakowskiej, Akademii Górniczo-Hutniczej, którzy społecznie przeprowadzili m. in. inwentaryzację terenu i tzw. pomiary realizacyjne, opracowali plan sytuacyjny, dokumentację hydro-geologiczną. Zjednoczenie Uzdrowisk — również społecznie — sporządziło dokumentację balneologiczną. Odbyło się tu wyjazdowe posiedzenie kolegium Centralnego Urzędu Geologii, który zalecił swojej placówce w Krakowie prowadzenie dalszych wierceń głębokościowych.

I tak opracowany został i przyjęty do realizacji program zagospodarowania kompleksowego Szczawy jako uzdrowiska na trzy tysiące miejsc, spełniającego także uzupełniającą funkcję w zakresie turystyki i letniego wypoczynku dla około 1100 osób. Obiekty sanatoryjne i wypoczynkowe zostały zgrupowane w trzech zespołach: „Kuźle", „Wąchały", i „Łuszczki". Szczawa posiadająca 65 procent lasów, mogłaby zapewnić wówczas statystycznie biorąc 170 metrów kwadratowych zieleni na jednego kuracjusza. Trudno znaleźć chyba drugie tego rodzaju uzdrowisko w Polsce, położone w dodatku w przepięknej kotlinie wśród Gorców.

Nie zabrakło więc w Szczawie inwestorów. Z początkiem lat siedemdziesiątych gotowość budowy obiektów sanatoryjno-wczasowych zgłosiła co najmniej dziesiątka dużych instytucji i zakładów przemysłowych z Krakowa, Warszawy, Łodzi, Torunia. Wkrótce jednak miało ich zostać niewielu, zwłaszcza od kwietnia 1970 roku, kiedy to Prezydium Rządu podjęło decyzję zakazującą projektowania i realizacji inwestycji uzdrowiskowych i turystyczno-wypoczynkowych.

Druga połowa lat siedemdziesiątych przyniosła, jak wiadomo, cięcia inwestycyjne. Równocześnie jednak rozwój kompleksowo pojętej turystyki, rekreacji i lecznictwa uzdrowiskowego uznany został w nowo powstałym województwie nowosądeckim za główną gałąź gospodarki. Wniosek stąd, iż odpowiednio winny być traktowane w tym regionie także sprawy inwestycji rekreacyjnych.

Wprawdzie w ostatnich latach inwestycje Szczawy nie tkwiły w całkowitym zastoju, ale to co zrobiono, w porównaniu z ustalonymi planami, oznacza niewiele. Największy postęp uczyniony został przy budowie zespołu „Kuźle". Z czterech zaprojektowanych tu obiektów sanatoryjno-wypoczynkowych na 640 miejsc, realizowany jest jeden, który osiągnął stan surowy. Finansuje go Kombinat Budownictwa Mieszkaniowego w Warszawie i jest to — jak na razie — jedyny budowany w Szczawie obiekt sanatoryjny. Realizacja drugiego budynku, którego inwestorem jest Okręgowe Przedsiębiorstwo Geodezyjno-Kartograficzne w Krakowie znajduje się w stadium robót ziemnych. Trzecie sanatorium w zespole „Kuźle" zmienia inwestora. Przejmuje je bowiem Huta im. Lenina od Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Bistona" w Łodzi. Inwestorem czwartego obiektu jest Krakowskie Zjednoczenie Budownictwa.

Zespół „Wąchały" składać się ma z sześciu domów sanatoryjno-wczasowych na 1040 miejsc. Realizacja tego zespołu przebiega najsłabiej, praktycznie nic się tu nie dzieje. Owszem są chętni do budowy, ale brak im środków inwestycyjnych.

Na realizację czeka również trzeci zespół — „Łuszczki" — obliczony na 1000 miejsc sanatoryjno-wczasowych, którego inwestorem jest Zarząd Państwowych Obiektów Wypoczynkowych w Warszawie. „Łuszczki" to najciekawiej zaprojektowany i najatrakcyjniej usytuowany kompleks obiektów rekreacyjnych. Twórcami projektu są architekci z krakowskiego „Miastoprojektu", którzy pod kierunkiem inż. arch. Wojciecha Obtułowicza opracowali (wyłonione w drodze konkursu) rozwiązanie, zasługujące na uwagę przede wszystkim dlatego, że główny obiekt zespołu sanatoryjnego znakomicie został wkomponowany w teren i organicznie z nim powiązany. Sanatorium, które ma niską zabudowę, tarasowy układ, a pośrodku patio, odznacza się zarówno dobrym poziomem funkcjonalnym jak i ciekawą, oryginalną architekturą.

I — na koniec — o sprawach komunalnych Szczawy: w skład zespołu „Łuszczki" wchodzi ujęcie wody, które służyć będzie także mieszkańcom; zaprojektowana została również dla wszystkich trzech zespołów zbiorowa oczyszczalnia ścieków. Mało tego, zakupiono prefabrykowane segmenty do budowy oczyszczalni, lecz na razie nie ma jej dla kogo budować i dlatego elementy zostały przekazane komu innemu.

Miejmy nadzieję, że za rok, dwa wypadnie wrócić do budowy oczyszczalni. Jeśli w 1981 roku, zgodnie z ustalonym terminem, rozpocznie się budowa „Łuszczek", jeśli rozkręci się budowa zespołu „Kuźle" i ruszą z martwego punktu inwestycje w kompleksie „Wąchały" — potrzebna będzie także oczyszczalnia ścieków.

Niechże więc lata osiemdziesiąte staną się okresem przełomowym w przekształceniu Szczawy w uzdrowisko. Niech jak najszybciej wspomoże ona przeciążoną Szczawnicę i Krynicę.

Olgierd Jędrzejczyk

Krynica bez DOKTORA

Brakowało mi tego jednego wieczoru u Pana w domu, w willi „Biały Orzeł" przy ul. Dietla. To był taki zbieg okoliczności, że mieszkał Pan przy trakcie noszącym imię Wielkiego Polskiego Uzdrowiciela, lekarza i społecznika z powołania. Dużo Pan mówił o Dietlu, o polskiej szkole balneologicznej, o narodzinach nowoczesnego sposobu leczenia ludzi. Był Pan fachowcem dobrym i skromnym. Zawsze podziwiałem Pana powściągliwość w wydawaniu ocen innym ludziom. Skupiony był Pan całą energią swą — niespożytą — na Krynicy, ukochanym miejscu Pana pracy.

Teraz należałoby użyć słowa „wrośnięcie w miasto". Tak też się stało. Od 1 kwietnia 1935 roku zaczął Pan pracować jako lekarz Ubezpieczalni Społecznej w uzdrowisku o światowej renomie. Już wówczas zetknął się Pan i ze sprawiedliwością swoich szlachetnych porywów i z niesprawiedliwością, która zapychała luksusowe wille bogaczami. Pan wówczas wiedział, co to znaczy dychawiczna śmierć ludzi zatrudnionych w tartakach, mieszkających w komórkach koło kotłowni. Stanął pan też w okresie okupacji w szeregach walczących z przemocą.

Kiedyś, dość dawno temu, chyba pod koniec lat czterdziestych widziałem jak oglądał Pan obrazki Nikifora, koło Starych Łazienek. Chociaż odpowiadała Panu raczej sztuka świadoma swych wartości, starał się Pan temu biednemu człowiekowi dopomóc, również w upowszechnieniu jego dzieł. Właśnie tam, pod Starymi Łazienkami kolega trącił mnie w łokieć i powiedział:

— Popatrz, Zawadowski i Nikifor. Lekarz, społecznik i utalentowany prymitywista obok siebie.

Mądrze Pan kiedyś powiedział na kolejnym spotkaniu miłośników Krynicy, że miastu temu, uzdrowisku i wsi, potrzebna jest sztuka — pięknie planowanej przestrzeni ogrodu, muzyki uzdrawiającej jak woda lecznicza, szlachetnego sportu, który dla Pana stawał się rzeczywiście działaniem artystycznym.

Urodzony w nauczycielskiej rodzinie dnia 7 maja 1902 roku w Jaworowie, słynnym miasteczku historycznych układów Sobieskiego, ukończył Pan szkołę ludową i gimnazjum w Sanoku. Wtedy właśnie — jak Pan sam powiedział — lubił Pan organizować wycieczki krajoznawcze. „Były to, w małych zespołach, całe wyprawy, bo pół wieku temu nikt nie marzył o takich jak dziś udogodnieniach, jakie podsuwają biura podróży, wszechstronna komunikacja, szeroko rozwinięta gastronomia. Wtedy wszystko trzeba było samemu obmyśleć, przygotować, załatwić. Chadzaliśmy z Sanoka grupkami w okolice Przemyśla albo gdzieś za Chyrów. Były i wyprawy wodne. Jedną z najbardziej przedsiębiorczych zorganizowaliśmy w siedmioosobowej grupie na pożyczonej od wojska łodzi Sanem i Wisłą aż do Warszawy!"

Studia medyczne ukończył Pan we Lwowie, w Uniwersytecie im. Jana Kazimierza. Tam też spędził Pan pierwsze lata praktyki lekarskiej przed przyjazdem do Krynicy.

Zaraz po wyzwoleniu zostaje Pan burmistrzem Krynicy — miasta. Jest nim Pan do roku 1948. Od roku 1949 do 1951 jest Pan wiceprzewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej Krynicy, od roku 1954 jest Pan radnym Miejskiej Rady Narodowej. Gdzie Pan nie pracował? Krynica zapamięta Pana jako przewodniczącego — od roku 1948 — Komitetu Budowy Parku Sportowego, jako prezesa Krynickiego Towarzystwa Hokejowego, jednego z najstarszych klubów sportowych kraju. Jakżeż się Pan martwił zawsze miejscem ligowym drużyny! Ale naprawdę to Pana główne dzieło — przez zabiegi, starania, szarpaniny inwestycyjne, telefony, podania — budowa lodowiska krynickiego. Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej, odznaczony Medalem i Odznaką 100-lecia Sportu Polskiego, prezes PTTK w Krynicy, długoletni przewodniczący Społecznego Komitetu Rozwoju Krynicy — wiedział, co, gdzie i jak można budować w uzdrowisku, zabiegał o organizację i budowę ścieżek zdrowia. Jakże by inaczej! Naczelny lekarz uzdrowiska Krynica — bez euforii, racjonalnie, z całą rozwagą zalecał picie słynnych wód. Na długo przed ostatnimi osiągnięciami w dziedzinie badań radioaktywności zdrojów doktor Zawadowski swoją penetracją źródeł naukowych dotarł do informacji, które współczesność dopiero szerzej potwierdziła. Leczenie balneologiczne łączył Pan zawsze z umyślnie stosowanym działaniem ruchowym.

Od 1 czerwca 1955 roku przez 20 blisko lat był Pan naczelnym lekarzem uzdrowiska Krynica, a od stycznia roku 1975 — dyrektorem sanatorium Nowy Dom Zdrojowy.

Zaszczycał mnie Pan swoimi zaprosinami. Czy pamięta Pan pewien lutowy wieczór roku 1978, kiedy gościnne ręce Pana Żony, znakomitej bibliotekarki Heleny Zawadowskiej częstowały nas wspaniałym tortem? Czy pamięta Pan swojego towarzysza bojów społecznych i komunalnych Stefana Półchłopka? Namawiał Pan wtedy — i Stefana, i mnie — abyśmy się skupili na monografii krynickiej. Sypał Pan informacjami historycznymi jak z rękawa, wymieniając nazwiska Oczki, Zygmunta Wąsowicza, Franciszka Stirby von Stirbitza, biskupa Maciejewskiego, kasztelana Stanisława Kępińskiego. Mówił Pan o pięknym Muzeum Przyrodniczym, wychwalał Pan zasługi wspaniałych krynickich działaczy Romana Nitribitta, Adama Lewickiego, Juliana Kandlera, Stanisława Nowaka.

Jakoś zapomniał Pan o sobie — przecież budyneczek muzeum turystyki na Jaworzynie Krynickiej to Pana ukochane dzieło. Znowu się Pan troił i dwoił, i 18 października 1970 roku odbyło się uroczyste otwarcie tej placówki.

Chodził Pan po Krynicy ostatnio już dość rzadko. Ale zawsze też Pan wypatrzył jakieś nowe dla siebie zmartwienie.

Każdą najdrobniejszą notatkę o ukochanym mieście wycinał Pan z gazet, zbierał to Pan skrzętnie. Pana zbiór informacji o Krynicy ostatnich lat czterdziestu jest nieprawdopodobnie bogatym. Niejeden bibliotekarz „przeglądacz prasy" zawdzięczać Panu będzie wszystko w tym względzie.

Jak się obędzie bez Pana Krynica? Czy Pana zapomni? Kto nam teraz opowie o wyniosłych świerkach, kto się będzie kłócił o nowe ścieki i oczyszczalnie, kto nam zapisze receptę na spokój, uśmiech i słońce w sercu, kiedy umarł dnia 1 marca 1980 roku doktor Julian Zawadowski?

● Jan Krokowski

● Ludwik Kowalski

Józef Bieniek

„BIAŁY ORZEŁ"

Generalnym egzaminem z polskości był dla harcerstwa wrzesień 1939 r. Tuż przed wybuchem wojny zwinięte zostały wszystkie obozy i kolonie. Starsi harcerze jak jeden mąż zgłosili się ochotniczo do służby wojskowej i poszli na front. Młodsi pozostali w miejscu i przydzieleni do różnych instytucji pełnili służby wartownicze, łącznikowe i pomocnicze.

Dziewczęta natomiast, z których wiele posiadało przeszkolenie sanitarne, podjęły pracę w szpitalach, placówkach PCK i w zorganizowanych ad hoc punktach doraźnej pomocy dla przewalającej się przez miasto fali uciekinierów, rannych i jeńców, a w dalszym etapie dla powracających z frontu żołnierzy, uchodźców, wysiedlonych i wszelkiej wojennej nędzy, łącznie ze skazanymi na zagładę Żydami.

Pod koniec października 1939 r. wrócili z frontowej tułaczki do rodzinnego miasta dwaj czołowi aktywiści sądeckiego harcerstwa, absolwenci I Gimnazjum — LUDWIK KOWALSKI i HENRYK KROL. Dotarli oni w międzyczasie z resztkami 1 PSP na teren Rumunii, gdzie zetknęli się z uchodzącymi na emigrację przedstawicielami Komendy Głównej ZHP, którzy nakazali sądeczanom wrócić w rodzinne strony i organizować harcerskie podziemie. Głównie w rejonie pogranicza, przez które spodziewany był exodus mas żołnierskich do armii polskiej na Zachodzie.

Planowanemu tworowi nadano z góry nazwę: Polska Organizacja Białego Orła „Resurectio".

Wracając z Rumunii Kowalski z Królem zatrzymali się w Sanoku, gdzie w oparciu o znajomych harcerzy utworzyli zalążek „Białego Orła" w postaci „piątki", która podjęła się dalszej pracy organizacyjnej. Następnym etapem był Nowy Sącz. Tu w listopadzie i grudniu powstał większy zespół „Białego Orła", a w wynajętym przez Kowalskiego pokoiku w oficynie przy ul. Długosza 57 zakwaterowała komenda „Białego Orła" dla rejonu sięgającego od Sanoka po Zakopane. Z Kowalskim, noszącym lewe nazwisko „Leopold Korabiewicz" w roli komendanta.

W tym także lokalu zorganizowany został nasłuch radiowy, na podstawie którego rozpoczęto wydawanie ulotek i biuletynu, który w dalszej przyszłości miał się przerodzić w stałe pismo pt. „Biały Orzeł".

W drugiej dekadzie stycznia 1940 r. Kowalski z Królem wyjechali do Zakopanego, aby pod Giewontem uwić gniazdo dla kolejnej agendy „Białego Orła". Nowosądecki zespół natomiast rozpoczął penetrację pogranicza piwniczańskiego, z zamiarem zorganizowania zespołu przewodników i łączników oraz punktów zakwaterowania, w których uchodźcy mogliby znaleźć bezpieczny kąt, uzyskać pierwszą pomoc i przygotować się do dalszej drogi.

Sprawa była pilna. Już bowiem pod koniec września w kręgu granicy pojawiać się zaczęły karawany ludzi obcych, którzy nikogo tu nie znając i nie mając żadnego rozeznania w sytuacji — pętali się bezradnie, pytając byle kogo o możliwości przejścia granicy. Wpadali więc często w łapy służb granicznych i wędrowali za kraty.

W takiej sytuacji aktyw powstającej organizacji musiał odłożyć pracę nad rozbudową i okrzepnięciem własnych szeregów i zająć się przede wszystkim losem uchodźców. I na tym właśnie odcinku nastąpił krach.

Sprawa zaczęła się już w listopadzie, w momencie pierwszej wpadki członków „Białego Orła" — ZBIGNIEWA OSOBLIWEGO i KAZIMIERZA POSŁUSZNEGO, wysłanych do Budapesztu z zadaniem nawiązania kontaktów z agendami ZHP na Węgrzech i uzyskania wytycznych dla dalszej działalności. Aresztowani na Słowacji i wydani w ręce sądeckiego gestapo zapoczątkowali dramat „Białego Orła".

W styczniu 1940 r. okupant zorientowany, że każdy uchodźca to przyszły żołnierz, a więc potencjalny wróg III Rzeszy — rzucił w rejon pogranicza sforę agentów, którzy udając „lotników polskich", pragnących dostać się na Zachód, zdołali nawiązać kontakt z agendami „Białego Orła" i uzyskać adresy kilkunastu jego członków.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. W dniach 16—18 stycznia 1940 r. nastąpił frontalny atak na aktyw „Białego Orła". Aresztowano kilkunastu harcerzy z grupy wyznaczonej dla pomocy uchodźcom. Kolejne aresztowania nastąpiły w marcu 1940 r. Tym razem dostało się w ręce gestapo około 50 studentów z I i II gimnazjum, między innymi Kowalski i Król, którzy mimo zagrożenia — wierni złożonej przysiędze — prowadzili swoją robotę dalej.

Trzecie uderzenie objęło harcerzy z krynickiej filii „Białego Orła", którzy rozpracowani przez miejscowych konfidentów zostali aresztowani 3 maja 1940 r.

Los całej grupy rozegrał się w czerwcu 1940 r. 14 czerwca, pierwszym transportem wywieziono do Oświęcimia większość aresztowanych. Kilka dni później, 27.VI, w wielkiej egzekucji pod Wysokim, wśród 93 rozstrzelanych zginęli: Ludwik Kowalski, Henryk Król, Zbigniew Osobliwy i Kazimierz Posłuszny z Nowego Sącza oraz Anatol Kondolewicz, kierownik filii „Białego Orła" w Starym Sączu. Z kilkudziesięcio osobowej grupy skazanych na obóz — wróciło parę osób, a wśród nich, zmarły 15.II.1980 r. nieodżałowanej pamięci JAN KROKOWSKI.

Egzekucja w trzetrzewińskim lesie zamknęła pierwszy rozdział krwią pisanej księgi sądeckiego harcerstwa. Drugi rozdział zaczął się w 1942 r. utworzeniem I Podhalańskiej Drużyny Harcerstwa Polskiego im. Zawiszy Czarnego. Ale to już — jak mawiał Kipling — inna historia i na inną okazję przeznaczona.

Spisz — ziemia polskiego cudu

Jo fcem zostać ino pasterzem...

... tak powiedział do hrubego gazdy Wawrzka Gombosa z Trybsza pasterz Janek, który w opowiadaniu „Zawiąż — rozwiąż!" mówi, że mu jest *Jonek, to jest prawde pedzieć Jaś.* Opowiadanie zostało zapisane w gwarze spiskiej przez MICHAŁA BALARĘ, który gawędy ludowe pt. „Spiski kotlik dukatów", ze słowem wstępnym TADEUSZA STAICHA, wydał w serii tatrzańskiej Wydawnictwa Literackiego.

Doprawdy trudno przecenić tę maleńką książeczkę, która zawiera opowieści z północnego Spisza Zamagurskiego oraz z Południowego Zamagurza i Pienin. Zawiera ona malutki słowniczek wyrazów gwarowych, 16 ilustracji — od reprodukcji obrazów, przez fotografię zabytków budownictwa spiskiego do drzeworytów.

Zacytujmy dalej kilka słów Staicha o Michale Balarze — autorze „Kotlika":

Oto Michał Balara, autor opowiadań. Młode jego lata w rodzinnym Frydmanie biegły utartym, kresowym wzorem Spisza i Orawy. Do siódmego roku życia mówił po polsku, językiem ojców. Gdy poszedł do szkoły, nauczycielka mówiła do niego wyłącznie po madziarsku. Książki drukowane były w tym samym języku. Gimnazjum w Podolińcu też kształciło w mowie i piśmie Węgrów. Kolejne szkoły średnie, w Lewoczy i Nowej Wsi, to już placówki oświatowe ze słowackim językiem nauczania. Dopiero po maturze, gdy przyszła nominacja na nauczyciela w Krempachach, Michał Balara cieszy się, że wreszcie i poza domem, w szkole, triumfuje jego język rodzinny.

Polskość gwary spiskiej nie ulega najmniejszej wątpliwości: obecność mazurzenia i pochylania, słynne spiskie „f" zamiast „ch" (jak na przykład „fcem" zamiast „chcem") to cechy charakterystyczne dla tej części gwar polskich, nie spotykane w języku południowych sąsiadów.

Ale nie tylko na tym polega urok opowieści Balarowych. Są one przede wszystkim odbiciem wielkich literackich, artystycznych zdolności tego szczepu, mieszkającego na południu Polski, zrośniętego z przepięknym krajobrazem, który organizował niejako wyobraźnię ludzi ubogich, pracujących ciężko od wieków, chodzących na pańskie, pasących bydło i uprawiających w pocie czoła ubogą ziemię. Słynne powinności urbarialne czyli pańszczyzna trwały tu do roku 1931 i zostały zniesione dopiero dekretem prezydenta. Jarzmo Szalamonów i Jugenfeldów to nie są bajeczki. I dlatego Spiszacy, tak samo jak Orawianie i górale podhalańscy szukali sprawiedliwości w opowiadaniach o Janicku, rozbudowując jego życiorys do wielu, wielu anegdot.

Prawdą jest również, że mnóstwo wątków tych opowieści ludowych to motywy ogólnopolskie, właściwe ludziom wsi całego naszego kraju.

Czym charakteryzują się rzeczy spisane lub napisane przez Michała Balarę? Olbrzymią spostrzegawczością, niekłamanym humorem, wyraźną postawą moralizatorską autora-opowiadacza. Są tutaj opowieści (np. „Jak Bartek Spyrka zacon nowe zycie"), gdzie cały tekst spisany jest właściwie w gwarze. Tego jest najwięcej zresztą w naszej książeczce. Są rzeczy bardziej po literacku napisane („Jak zorzanie wielkoludowi z worka uciekli"), kiedy idzie tylko o zanotowanie motywu fabularnego, podania, legendy. Tam głównie dialogi spisywane są w gwarze.

Miłość i zbójnictwo; sprawiedliwość wymierzona panu nie tylko przez zbójników, lecz również przez moce nieziemskie, które sprzyjają chłopu; chęć pokazania, że człowiek czasem musi w sobie zdusić — jak Spyrka na przykład — poczucie doraźnej krzywdy, aby żyć spokojniej; lubowanie się w muzyce i pieśni; ucieczka przed zimnem, głodem, „narukowaniem" do wojska; sięganie po sprawiedliwość aż do cysarza; młyny z mieszkającymi w nich czarodziejskimi mocami; równanie się z królem („Król Maciej na szałasie" — cóż to za kapitalna dykteryjka moralizatorska!); bardzo charakterystyczne wykpiwanie pijaków — czyż to nie prawdziwe bogactwo? Czyż to nie prawdziwy polski cud — zachowanie ojczystego języka mimo wojen, najazdów, wynaradawiania?!

Proponując tę lekturę naszym Czytelnikom chciałbym wreszcie powiedzieć, że jest to wszystko zbiorem nader interesujących anegdot. Ważne są one nie tylko w wymiarze pomnika językowego, pamięci narodowej, ale dla wartości literackiej. Te przygody górali spiskich są po prostu ciekawe i nikt nie straci, jeśli sięgnie po ową książkę nawet dla celów czysto rozrywkowych.

Wcale nie za górami i nie za lasami, choć w górach i lasach, mieszka sławetny ród spiski. Odmieniło się jego życie, wywędrowali — już teraz nie na roboty budowlane do dalekich Budapeśtów — Spiszacy na wielkie inwestycje narodowe, pokończyli „wysokie szkoły" i w Krakowie, i w Warszawie, i w Łodzi, i w Lublinie. Zostali sobą, bo jeszcze dzisiaj potrafią opowiadać ciekawe rzeczy z zamierzchłej swej przeszłości.

(Olg. Jędrz.)

Michał Balara — „Spiski kotlik dukatów. Gawędy ludowe", słowo wstępne Tadeusza Staicha, Wydawnictwo Literackie 1980, seria tatrzańska.

Michał Słowik-Dzwon

SZTUKĄ NIEMCA TŁUKĄ

Niemiecki wóz ciężarowy przywiózł z Krakowa ładunek. Były to różne okucia stolarskie, blachy, a także skrzynki gwoździ. Złożono je w magazynie Dyrekcji Uzdrowiska w Szczawnicy.

— *Ej, ciężkie te bezpsie!* — zaklął stary Stec, znosząc skrzynki do magazynu.

— *Przydałyby mi się, bo mam pobić gontami dach na chałupie, a gwoździ nie ma gdzie kupić* — zagadał Marian Macanowicz do kierownika Zaopatrzenia Uzdrowiska, Emila Chramca. Ten uśmiechnął się znacząco:

— *One się przydadzą, ale nie na waszą chałupę, Marianku, w większej potrzebie są domy w Ochotnicy, bo się leje przez postrzępione dachy nie tylko deszcz ale łzy i krew. Tam prześlemy te gwoździe.*

Macanowicz popatrzył na Kierownika, pomrugali oczami, a inni robotnicy poruszali ramionami, nic nie rozumiejąc.

— *Prześlemy, ale jak?...* W ostatnim czasie przybył do Krościenka oddział SS i rozkwaterował się na dobre, trzyma wartę na moście na Dunajcu, przeprowadzając rewizje przejezdnych, a nawet przechodniów. Nie sposób więc przewieźć bez specjalnych papierów aż kilka skrzynek gwoździ. Niemcy znajdą je, skonfiskują, a ochotnickie dachy nie mogą czekać. Aż wpadli na pomysł... Ze szczawnickiego posterunku policji granatowej co dzień jeden z policjantów jeździ służbową dorożką do Krościenka, gdzie pełni służbę porządkową. A ponieważ jest wśród nich członek organizacji podziemnej, więc jemu można powierzyć to zadanie, bo jego policyjna dorożka nie podlega kontroli.

Zadanie polegało na tym, aby skrzynki ukryte na dnie wozu przewieźć przez most i schować w umówionym domu w Krościenku, a tam by już przyjechała po nie furmanka z Ochotnicy.

Zaproponowano to policjantowi. Najpierw westchnął ciężko, ale zgodził się. Nie zjawił się jednak. Przysłał wiadomość, że jest chory, widziano go jednak na ulicy.

„Choroba" się przeciągała, a cieślowie „Bandit Republik" Ochotnicy czekali i denerwowali się. Dostawcy też się niecierpliwili, no ale nie ma rady: „Głową muru nie przebijesz".

Naraz pojawił się w Szczawnicy młody mężczyzna, przystojny, z charakterystycznym uśmiechem na twarzy, rodem spod Turbacza, a ożeniony w Szczawnicy i tutaj zamieszkały. Z zawodu kucharz, a przy tym kurier partyzancki pomiędzy Szczawnicą a Ochotnicą i Turbaczem.

— *No co, do piernika, z tymi gwoździami? Tam czekają, a wy się ociągacie z dostawą!* — zagadnął Kierownika. Ten tłumaczył, że nie ma kto skrzynek przewieźć. Opowiedział jak zwodzi ich posterunkowy.

— *On „chory jak choć który". Boi się, żeby w granatowe portki nie nawalił ze strachu* — zaśmiał się przybysz. — *Słuchajcie, Kierowniku, ja tu jutro przyjadę furą i zabiorę te gwoździe* — uśmiechnął się po swojemu.

— *No, ale jak, Ignac? Kiedy na moście kontrola?* — zdziwił się Kierownik.

— *Mnie rewidować nie będą. Poczaruję ich, hokus pokus. Cupnę nogami, że uciekną ze strachu. No, do widzenia, bo nie mam czasu!* — I wyszedł z pośpiechem, z którym się nie rozstawał, tak jak z radością i uśmiechem.

Następnego dnia przyjechał wóz „lyterczak", z półkoszkami, wyścielony słomą.

— *Panie Kierowniku, gdzie macie te gwoździe? Dawajcie szybko!* — naglił przybyły. — *Nająłem furę z Ochotnicy, to mi się śpieszy.*

Załadowano na wóz osiem skrzynek, przykryto słomą i ruszyli.

Ignac kazał zajechać przed swój dom „pod Koszarkami". Jego żona wyniosła pierzynę i poduszkę, rozścieliła na wozie, a on położył na nich swoje dziecko, jedynego synka Henka, równie wesołego jak i ojciec. Ignac zawinął małego w pierzynę, pożegnał się z żoną:

— *No, bądź zdrowa, Marys!* — Pośpiesznie wyskoczył na wóz, który już dudnił po kamienistej drodze.

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

— *Jedźcie z Bogiem i niech was Matka Boska ma w opiece!* — Kobieta przeżegnała ich w powietrzu ręką, którą następnie podniosła róg fartucha, by otrzeć „tulające" się po bladych licach łzy. Stała i patrzyła za odjeżdżającymi, aż wóz znikł na zakręcie.

Esesowcy, oparci o barierę mostu, na widok nadjeżdżającego wozu wyszli na środek mostu. Jeden podniósł rękę z rozkazem: *Halt!*

Woźnica zatrzymał się i popatrzył z lękiem na pasażera, który okrywał rogiem pierzyny leżące dziecko, a przy tym nieznacznie szczypał je w rączkę. Dziecko rozpłakało się rzewnie. — *Gdzie jedziesz i co tam piszczy?* — zagadał Niemiec, kalecząc polską mowę.

— *Kogo wieziesz?* — podszedł ku wozowi inny.

— *Wiozę krank kinder, do lazaret. Neu Sandez. Krank chore na tyfus. Może kaput. Nie przybliżajcie się, bo możecie się zarazić* — ojciec Henka zaczął szybko mieszać „polskie z niemieckim", a przy tym gestykulował rękoma, aby się esesowcy nie przybliżali do wozu.

— *Was?* — przystanął Niemiec. — *Tifus?!!!* — odsunął się gwałtownie od wozu.

— *Weg!* — krzyknął na furmana. — *Schnell, schnell!* — wskazał kierunek dalszej drogi. — *Ein, zwei, nach lazaret* — i podniósł lagę, aby uderzyć konia, ale gniady nie czekał, tylko podniósł ogon, jakby się chciał nim zasłonić, i ruszył z miejsca ochoczo.

Troskliwy ojciec uciszał płaczące dziecko, a przy tym chował w pierzynę roześmianą twarz, aby nie parsknąć śmiechem.

— *„Sztuką Niemca tłuką"* — zagadał przysłowiem wesoło do woźnicy.

— *Ale jak by się sztuka nie udała?*

— *To byliby my biedni, gazdusiu.*

— *Ta by my wielce jeszcze nie przezkurzyli. Zabraliby Niemcy gwoździe, skonfiskówali, a my dostali po usach za cygaństwo i tyla* — tłumaczył sobie ochotnicki gazda.

Zajechali do Ochotnicy i wyładowali skrzynie. Całe osiem skrzynek... granatów, a nie gwoździ!

— *Ooo Kriście Pan!* — westchnął ciężko woźnica, gdy „leśni" odbierali towar. — *Aleś mnie, Ignac, wycybusył!* — zwrócił się z wyrzutem do towarzysza podróży. — *Jakby tak Niemcy nie dali się skiebkówać i byliby znaśli te gruski we wozie, to co by było?*

— *O, wam by nie było nic! Wy byście się wymigali, boście po prawdzie nie wiedzieli, co wieziecie* — uspokajał go Ignac.

— *A z tobą co by było?*

— *Byliby my z Henkiem bez tyfusu nieboszczykami* — odpowiedział tamten.

Wziął dziecko na ręce, by zanieść na pewien czas do rodziny do Kamienicy.

Tak oto Ignac Gorczewski, ps. „Brzoza", kurier organizacji podziemnej wykonał ryzykowne zadanie, przed którym inni stchórzyli.

A tymczasem żona, wiedząc o wszystkim, bo też działająca w organizacji podziemnej, czekała niespokojna, co się z nimi stało. Czy wpadli? Czy się sztuka udała? Przeżywała straszne chwile niepewności.

Ukochany mąż, jedyne dziecko i pozwoliła na to? Największy skarb dała szczodrą ręką? Nie zawahała się przed taką ofiarą dla Ojczyzny?

Poniosła tę ofiarę w kilka miesięcy później. Zginął Ignac na Lubaniu, zastrzelony przez Niemców, którzy spalili schronisko.

NASZ KONKURS

„PAMIĘTAMY!"

Wspólnie z Zarządem Wojewódzkim Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej oraz Komendą Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego ogłaszamy konkurs otwarty na wypowiedź publicystyczną, wspomnienie, opowiadanie lub refleksję osobistą, traktującą o którymkolwiek z tak licznych w województwie nowosądeckim miejsc pamięci narodowej. Szczególnie pożądane będą wypowiedzi wnikliwie odtwarzające historyczne zdarzenia, związane z opisywanym miejscem oraz jego obecną rolę w kształtowaniu uczuć patriotycznych. Przedmiotem prac konkursowych mogą być zarówno te miejsca martyrologii, które przedstawiamy na fotografiach zamieszczonych dzisiaj w „Dunajcu", jak i te, które są mniej znane, bądź zapomniane.

Termin nadsyłania wypowiedzi, nie przekraczających 8 stron maszynopisu (lub czytelnego rękopisu) upływa w Dniu Zwycięstwa, 9 maja 1980 roku. Jury w składzie: Julian Kawalec — przewodniczący, Andrzej Głuc, Lechosław Miksztal, Roman Morańda, Adam Ogorzałek, Wacław Raczkowski i Marian Wasilewski — ogłosi wyniki konkursu w pierwszych dniach czerwca br. Na nagrody przeznacza się kwotę 15 tysięcy złotych.

Prace podpisane godłem prosimy przesyłać na adres: **„Dunajec" 33-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6, konkurs „Pamiętamy!"**

W oddzielnej kopercie należy załączyć swoje imię i nazwisko oraz adres.

Najciekawsze wypowiedzi zostaną opublikowane i niezależnie od nagród, jakie przyzna jury, oddzielnie uhonorowane finansowo.

O sztuce dziedziczenia

DYSKUSJA W „SĄDECKIEJ KUŹNICY"

Klub Twórców i Działaczy Kultury „Sądecka Kuźnica" zaprasza na dyskusję O SZTUCE DZIEDZICZENIA

ZAMIAST ZAGAJENIA

Ulegnijmy pokusie posłużenia się cytatami. Przeszłość — to jest dziś, tylko cokolwiek dalej. Budując socjalistyczny porządek społeczno-moralny chcemy się głębiej zadomowić w swojej przeszłości. Więź z wielowiekową tradycją nie odsuwa od teraźniejszości, przeciwnie, narzuca pogłębiony kontakt z dniem dzisiejszym, wyzwala aktywność. Nasze tysiąclecie nie jest amfiladą sal z gablotami, sal, poprzez które przechodzimy i po prostu wychodzimy nieskażeni żadnym kontaktem.

Jednakże obcowanie z tradycją nie dokonuje się automatycznie, potrzebny jest świadomy wysiłek intelektualny. Odziedziczyć jej po prostu nie można; żeby ją posiąść trzeba się potrudzić. Czy ów wysiłek — mówiąc językiem ekonomistów — opłaca się? W tym języku można by zapytać: czy w ogóle opłaca się być Polakiem? Zapewne, w Kanadzie żyje się lepiej. Ale cóż, żadna siła nie oderwie mnie od ziemi, na której wyrosłem, i od jej tradycji.

Męstwo żołnierskie od potrzeby grunwaldzkiej po triumf berliński, męstwo żołnierza w pancerzu, mundurze i bez munduru, męstwo działacza i bojowca rewolucji.

Dobywamy z przeszłości także ów ciąg rewolucyjny, czerwony jak sztandar, który dźwignięto ponad trony. Męstwo bezimiennych, którzy złożyli najwyższą ofiarę. Słyszymy wielkie milczenie poległych; ono niejednego oskarża...

Ujmujący serce urodą pejzaż. Ci, którzy bronili kraju przed najeźdźcą. Ludowy artysta, który budował i zdobił pałace czy kościoły. Ludowy pieśniarz. Ojczysty język. Myśl Kopernika i Chopinowska nuta. Nade wszystko jednak: ojczyzna — zbiorowy obowiązek.

Miłość — ale nie ślepa. Nie ta, która adoruje każdą tradycję, lecz ta, która dokonuje mądrego wyboru, choć nie odtrąca z lekceważeniem piękna i mądrości wieków. Nie depczcie przeszłości ołtarzy, choć sami macie doskonalsze wzniesie.

Przeżywamy chwilę dziwnie osobliwą. Oto kształtuje się naród epoki socjalizmu. Ten nowy naród-lud jest głodny swojej przeszłości, chce zagospodarzyć się w najcenniejszych tradycjach, chce wiedzieć, że idzie z daleka, i czerpie siłę do działania oraz wiarę w przyszłość także ze świadomości swego wielowiekowego istnienia i wspólnoty. Bez żywego dialogu z tradycją nie bardzo będziemy wiedzieć, dokąd idziemy...

Obywatelą świata czy Polski? Nie może kochać prawdziwie ludzkości, kto jest złym synem ojczyzny, kto nie czyni zadość najbliższym obowiązkom — i na odwrót.

Dość cytatów... Na rozległych obszarach między Norwidowską maksymą, że przeszłość — to jest dziś, tylko cokolwiek dalej a fragmentem „Katechizmu demokratycznego" Henryka Kamieńskiego, który nie dostrzegał sprzeczności między patriotyzmem a internacjonalizmem, chcemy umiejscowić trzy ważne dla naszej praktyki społecznej pytania:

Po pierwsze — co w nowosądeckim dziedzictwie ma wartość żywą, przydatną współczesnemu człowiekowi? Co zachęcać go może do męstwa i wytrwałości przy budowie wspólnego domu?

Po drugie — jaki użytek robimy w Nowosądeckiem z owego dziedzictwa? Czy rozliczne imprezy, memoriały, rajdy, izby tradycji, muzea, widowiska — dobrze i skutecznie służą budzeniu patriotycznych uczuć?

Po trzecie — jakie rezerwy tkwią w naszej pracy wychowawczej — twórców, polityków, działaczy kultury i pedagogów? Co możemy uczynić, by jak najpełniej istotne elementy przeszłości zespolić z teraźniejszością?

Na ziemi Zawiszy Czarnego i Janka Krasickiego, Orkana i Łukasiewicza, Chochołowskiego Poruscństwa i partyzanckich bitew; na ziemi, która gościła Włodzimierza Iljicza i po latach powitała jego rodaków niosących nam wolność; na ziemi tak masowo odwiedzanej dzisiaj przez miliony rodaków — trzeba uporczywie szukać odpowiedzi na powyższe pytania. Tej pracy nikt za nas nie wykona. Trzeba przy tym pamiętać, że jest to ziemia, na której długo paliły się ognie wojny domowej, na której porewolucyjny ład bronią trzeba było wywalczyć, a zmiany w świadomości obywatelskiej nie nastąpiły z dnia na dzień i wcale nie jesteśmy skłonni twierdzić, że proces ten jest zakończony. Dlatego zapraszamy gorąco do dyskusji osadzającej przemyślenia historyczne kilku pokoleń Polaków w realiach województwa nowosądeckiego.

Za Prezydium Klubu
ADAM OGORZAŁEK

Dyskusja odbyła się 10 marca br. Publikujemy fragmenty nieautoryzowanych wypowiedzi.

Julian Kawalec

pisarz, prezes „Sądeckiej Kuźnicy"

Witam wszystkich przybyłych na naszą rozmowę. Mamy rozmawiać na temat, który został określony w wysłanym Wam zaproszeniu; który został jasno, precyzyjnie i pięknie wystylizowany przez Adama Ogorzałka. Uważam — jest to sprawa oczywista, ale może należy to powiedzieć — iż jest to temat ważny. Właściwie to wszystko, co on zawiera, obserwujemy w codziennej praktyce, ale nie zwracamy może na to uwagi, nie podkreślamy. Jest to sprawa oczywista, że dzień dzisiejszy budujemy z dnia wczorajszego, że wyciągamy łapczywie ręce po przeszłość, żeby budować teraźniejszość, żeby budować też przyszłość. Że próbujemy zatrzymać te pożerane przez czas chwile, aby zachowały się one w naszej pamięci i aby służyły budowaniu gmachu teraźniejszości. Sądzę też, że wiele naszych osiągnięć wynika właśnie z tego, iż bierzemy rzeczy cenne z przeszłości, a także wydaje mi się, że i wiele naszych trudności wynika z tego, że je zaniedbujemy, że pozwoliliśmy, ażeby czas pożarł pewne cenne wartości i może często kulejemy nie mając ich, nie kontynuując, nie przenosząc z rąk do rąk. Mam tu na myśli pewne zespoły etyczne, które nie dość pieczołowicie pielęgnujemy, te, które wypracowali nasi ojcowie. Ale moimi osobistymi poglądami na te sprawy chciałbym podzielić się z Wami w toku dalszej rozmowy

Wacław Raczkowski

kierownik Wojewódzkiego Ośrodka Pracy Ideowo-Wychowawczej

Trzeba odróżnić dwie sprawy: ocenę samego dziedzictwa oraz metody jego przejmowania (bo o sensie w ogóle jego przejmowania nie ma co dyskutować). Przy takim statycznym ujęciu dziedzictwo — a więc całokształt zachowanych wartości materialnych i duchowych — jest pojęciem nie nasuwającym większych wątpliwości. Natomiast proces jego przejmowania, czyli aktywnego ustosunkowywania się nas, współczesnych, do dziedzictwa — wy-

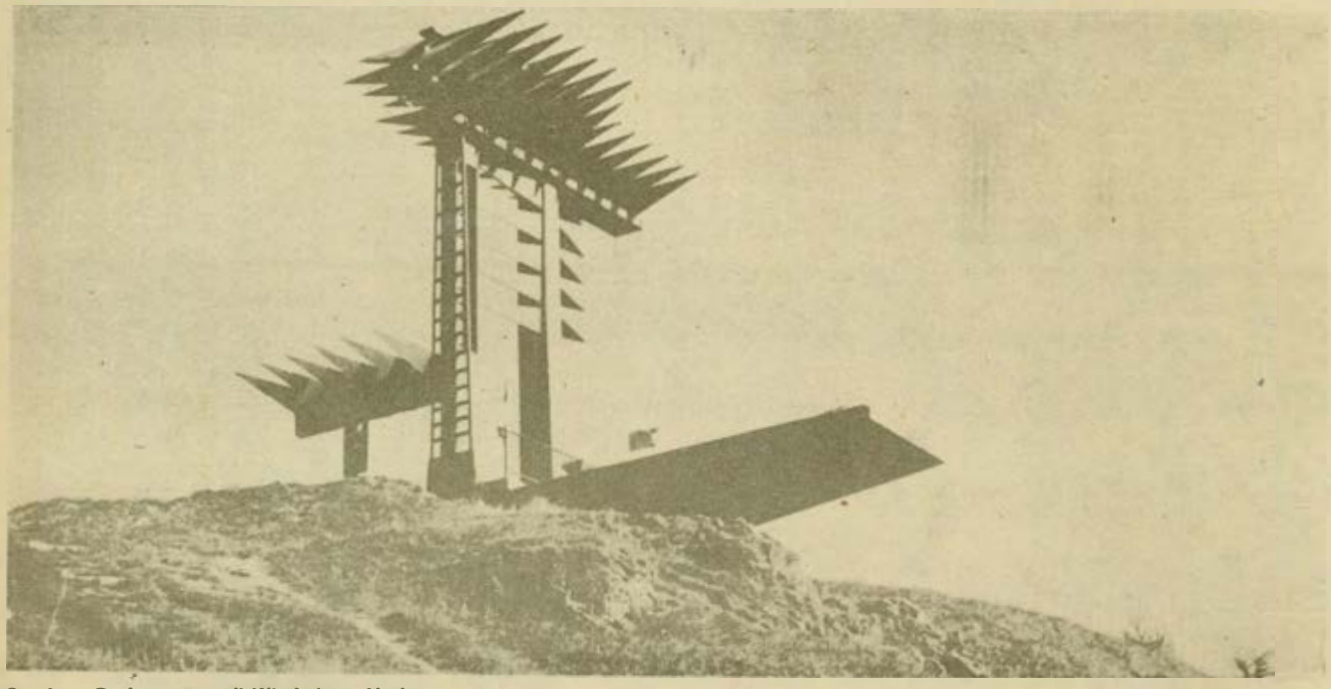

Snozka. „Grające organy" Władysława Hasiora

O sztuce dziedziczenia

wołuje natychmiast we wszystkich kręgach żywą dyskusję.

Kultura ludzka na każdym etapie historycznym, nieustannie, przejmuje i przeobraża istniejące wartości, a przeobrażone — ileż pozostają niezmienne?

Zastanawiam się, jaki zakres tematyczny ma obejmować nasza dyskusja. Najlepiej, żeby jak najszerszy. Żebyśmy problemów tradycji, dziedzictwa nie zawężali tylko do dziedzictwa kulturalnego w sensie kultury rozumianej jako przedmiot działania resortu kultury, licznie i znakomicie tu reprezentowanego. Z kolei całość tworzywa jest tak obszerna, że wątpię, czy ktokolwiek z nas ogarnąłby ją, unikając dyletantctwa lub woluntaryzmu. Dlatego chciałbym odnieść się tylko do części pytań, postawionych nam w zaproszeniu.

Czy liczne imprezy, rajdy, memoriały, widowiska — dobrze i skutecznie służą budzeniu patriotycznych uczuć? Na pewno mogłyby lepiej. Celem imprezy jest osiągnięcie u adresata efektu emocjonalnego. Lecz czy zależy on tylko od technicznej jakości? Bynajmniej. Rzecz jest w podbudowaniu efektu emocjonalnego zwykłą wiedzą. Chodzi więc o uczenie ludzi tej ziemi, jej historii. Że bogata, wiemy. Że barwna, też. No, a głębiej? Mało kto wie. Nie jestem dokładnie zorientowany, co robią w tym zakresie szkoły, ale chyba niewiele. Jest tu pole do popisu i rezerwa, której szukamy. W społeczeństwie jest wielki głód wiedzy o przeszłości, o korzeniach, z których wyrastamy. Świadczy o tym tempo, w jakim znikają z księgarń najbardziej nawet opasłe tomiska historyczne. Problem więc trzeba postawić na płaszczyźnie czysto instrumentalnej: nie można mówić o wspieraniu się tradycją, kiedy nie ma o niej wiedzy. Poza tym: jak tę wiedzę zdobywać? Była już mowa o szkole. Środków masowego przekazu mamy jeszcze mało. Pogadankami i „cwiszenrufami" przewodników też niewiele się załatwi. Są jeszcze książki. Dorobek historiografii regionalnej jest już spory; inna sprawa, czy powszechnie dostępny. Istnieją tu jeszcze jednak bardzo duże luki, brak jest m. in. monografii wielu znaczących ośrodków. Nie wchodzę tu w przyczyny tego stanu rzeczy, które w przeważającej mierze leżą poza sferą możliwości miejscowych działaczy. Liczymy na nowo powołaną w Nowym Sączu Stację Naukową Polskiego Towarzystwa Historycznego i aktywnie działające w Sączu i Zakopanem oddziały tego Towarzystwa. Gdybyż jeszcze nie napotykały one na przeszkody biurokratyczne... ale to inna sprawa.

Edukacja historyczna społeczeństwa to problem sam w sobie, którego tutaj nie sposób wyczerpać. Trzeba dodać jednak jako akcent bardzo optymistyczny, że kierownictwo naszego frontu ideowo-wychowawczego dostrzega jego znaczenie. Mamy tu przykład wzorowego sprzęgnięcia świadomego działania „od góry" z zainteresowaniem bardzo szerokich kręgów ludzi. Zainteresowaniem autentycznym, żywiołowym, choć uzasadnionym obiektywnie. Nie możemy tego kapitału zmarnować. Zdanie to bardzo wyświechtane, ale nie ma go czym zastąpić. Mamy partyjny program, rozszerzony o zadania organizacji społecznych. Będziemy go w najbliższym czasie wzbogacać długofalowym programem obchodów 100-lecia polskiego ruchu robotniczego. Powinny się w nim znaleźć liczne akcenty regionalne, zresztą sporo już do tej pory zrobiono. Wydaje się, że właśnie w dziedzinie edukacji historycznej znajdą politycy i działacze rezerwy, których szukamy, aby najpełniej przeszłość zespolić z teraźniejszością.

Na szereg postawionych nam pytań nie potrafię odpowiedzieć. Jakie rezerwy tkwią w twórcach? Co w dziedzictwie naszym ma wartość żywą, przydatną współczesnemu człowiekowi? O tym można wiele mówić, choćby o problemie dziedzictwa w architekturze.

Wybaczcie, że zakończę pretensjonalnie cytatem z Cycerona: historiam rescire hoc est semper puerum esse — **nie znać historii — to być zawsze dzieckiem.**

Tadeusz Szczepanek

dyrektor Muzeum Tatrzańskiego

Przejmowanie łączy się zawsze z przechowywaniem i zabezpieczaniem. Z tą postawą, która tworzy nam wiedzę o przeszłości. My, Polacy, jesteśmy narodem historyzującym, nie robiącym żadnego kroku, nawet współcześnie, abyśmy nie szukali do niego motywacji wielkich, bo historycznych. Tylko że o dokumentach i źródłach na ogół nie pamiętamy, ponieważ je wcześniej ze swawolnością narodową rozproszyliśmy. Przykład pierwszy — nazywamy się bardzo chętnie narodem Piastów, który wywodzi się podobno z chłopa, ale co wiemy, co historia wie o grobach tych władców? Przykład drugi — opowiadał mi generał Zygmunt Berling, że kiedy przyszło nad Oką odtworzyć orła piastowskiego, to ileż było trudności! Przykład trzeci — w całym muzealnictwie polskim, w jego wystawach, znajduje się około 5% zbiorów, resztę kryją magazyny. Prawidłowa proporcja wystawiennictwa muzealnego do zasobów kształtuje się na świecie w granicach 25%. I chyba nie w tym rzecz, abyśmy wszystko wystawiali, i nie w tym, byśmy postulowali wielką rozbudowę placówek muzealnych (nie pamiętam zresztą, czyśmy w Polsce w 35-leciu wystawili jedno całe nowoczesne muzeum). Czy jednak w kulturze i sztuce nie dorabiamy się po raz drugi?

Jakim zjawiskom kultury współczesnej chciałbym towarzyszyć? W tych rozważaniach chętnie powrócę na teren województwa nowosądeckiego. Mówimy wszyscy o intensywnym zagrożeniu naturalnego środowiska człowieka. Zgoda, że to zagrożenie istnieje, ale powoduje ono również wzrost naszego zainteresowania możliwościami i drogami ratunku. Nabierają znaczenia regiony geograficzne, gdzie rekultywacja otoczenia przyrodniczego człowieka może być stosunkowo najszybsza, a składniki rodzimej kultury mogą zaspokoić zainteresowania humanistyczne. Takim obszarem na pewno jest województwo nowosądeckie, a w interesującym mnie zakresie — Podhale Wyżne z Zakopanem, Podhale Niżne, Spisz, Orawa i Ziemia Pienińska. Dobrze więc, gdyby zadanie kształtowania współczesnego krajobrazu stało się terenem spotkania starych i nowych dyscyplin nauki w tworzeniu planów zagospodarowania przestrzennego mikro- i makroregionów. A współczesny architekt krajobrazu, jeśli wnikliwie rozważa pojęcie sfery kultury, musi za decydujące o humanistycznej treści współczesnego krajobrazu architektonicznego uznać pomniki naszej kultury narodowej. Moim zdaniem jednak postulat synchronizacji programów ochrony konserwatorskiej z rozwojem społeczno-gospodarczym będzie tak długo nierealny, dopóki nie zmienimy modelu muzeum regionalnego. Z witrynowego, gablotowego, magazynowego stawać się powinno muzeum przestrzennym, obecnym we wszystkich procesach kształtujących współczesny krajobraz. A ponadto śmielej ingerować w tę przestrzeń. Na Podhalu — gdzie działali tacy ideowi przywódcy regionalizmu, jak Stanisław Witkiewicz, Chałubiński, Matlakowski, Maria i Bronisław Dembowscy, Ignacy Baranowski, którzy potrafili odkryć wartości kultury ludowej dla kultury narodowej — szczególnie na tej ziemi kwestia ochrony krajobrazu kultury jest kto wie czy nie zasadnicza dla kształtowania współczesności. Jednak to co się dzieje obecnie właśnie w dziedzinie krajobrazu architektonicznego (mam na myśli te wszystkie potworki architektoniczne), a co jest w konflikcie architektonicznym i przyrodniczym z Tatrami, dla mnie osobiście jest nie do przyjęcia. Problem przesuwa się tu z decyzji administracyjnych na sferę moralną. Obecna sytuacja zmusza muzeologa i konserwatora do bicia się wręcz o ślady przeszłości. Weźmy choćby sprawę szałasów położonych w granicach Tatrzańskiego Parku Narodowego. Jeśli metryką urodzenia kultury góralskiej było pasterstwo, to we współczesnym krajobrazie trzeba ochronić i ocalić pozostałe relikty pasterskie. Stoi więc przed nami to, co dyrektor Muzeum Tatrzańskiego Juliusz Zborowski nazwał „ochroną swojszczyzny". Sprawa to niełatwa, trudniejsza niż ochrona przyrody, gdzie odgrywa rolę zakaz, nakaz, przepis prawny. W ochronie swojszczyzny działają jedynie moralne pobudki, toteż nasze działania muszą iść w kierunku rozbudzania lokalnego patriotyzmu, poszanowania tradycji, nie kłócącej się z dzisiejszym poczuciem i poszanowaniem piękna. Sprawa ochrony swojszczyzny jest bardzo aktualna, gdyż zagrożenie krajobrazu kultury góralskiej — a rozszerzając ten problem: zagrożenie kultury polskiej, narodowej — jest tym większe, iż nasza współczesna architektura nie nawiązuje do cech miejscowych. Sprawę ochrony dawnej architektury uważam więc za priorytetową.

Alojzy Cabała

dyrektor Muzeum Okręgowego

Postaram się ustosunkować do kilku spraw. Pierwszą z nich jest świadomość własnych korzeni. Pozwólcie, że

(DALSZY CIĄG NA STR. 10)

Ochotnica

Hala Konieczna

O sztuce dziedziczenia

Nowy Sącz — Cmentarz Zasłużonych

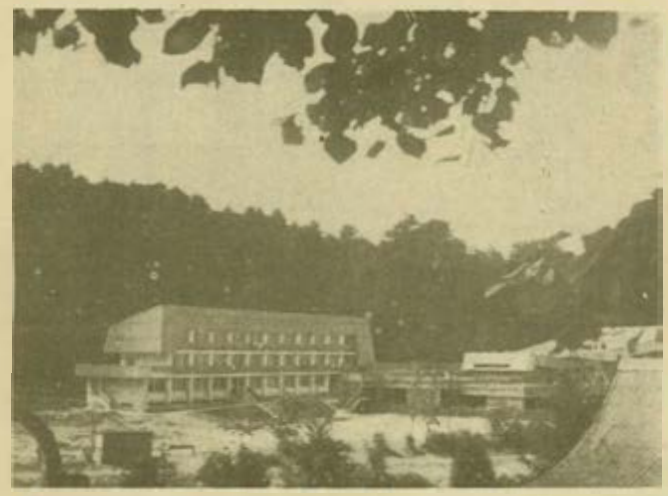

Limanowa — Dom im. Janka Krasickiego

(DALSZY CIĄG ZE STR. 9)

opowiem tu pewne wydarzenie. Była wiosna 1974 roku, kiedy do Tadka Szczepanka zgłosił się siwy, wysoki, poważny pan — Tadeusz Jos. Pan ten jest profesorem, uczonym człowiekiem, kierownikiem katedry gospodarczej w Ottawie, a znalazł się w Kanadzie w wyniku sytuacji wojennej już jako młody, dobrze zapowiadający się uczony. Doszedł tam do wysokich cenzusów naukowych, wysokiej pozycji w tym liczącym zaledwie kilkadziesiąt lat społeczeństwie. I pamiętam, jak mówił, że chodził po ulicach Ottawy dumny z samego faktu, że za nim idzie dorobek tysiąca lat, a otaczający go Kanadyjczycy mają rodowód o wiele krótszy. Sprawa druga: pamiętam, jak przed kilkoma laty w pewnym miasteczku postanowiono rozebrać wszystkie kapliczki, zgromadzić je w jednym kompleksie zabytkowym. Na szczęście ktoś się obudził, gdy rozebrano już jedną, zastanowił — i w ten sposób ocalały... austriackie słupy milowe z 1872 roku, którym nadano formę kaplicy jako formę wtórną. I zastanówmy się w tym momencie nad naszym stosunkiem do własnej tradycji kulturowej, która wyrosła w cieniu i pod wpływem systemu religijnego, ale jest przede wszystkim naszą polską tradycją kulturową, ile by w niej nie było różnych wpływów obcych.

Co, moim zdaniem, ma wartość żywą i przydatną współczesnemu człowiekowi w Nowosądeckiem? Z relacji naszych kolegów, którzy mają bezpośredni kontakt ze zwiedzającymi obiekty muzealne, wynika, że sprawa ta wymaga poważnego przemyślenia. Poza nieliczną elitą, która przeżywa kontakt z dokumentem, z zabytkiem, nikt się nimi nie wzrusza. Tak jest i z nowosądecką Galerią Marii Ritter, zorganizowaną przecież wielkim społecznym wysiłkiem. Coś tu chyba nie gra... Jaki użytek robimy w Nowosądeckiem z dziedzictwa? Kiedyś przychodziły do nas grupy młodzieży, której pokazywaliśmy, jak powstaje dzieło sztuki, jak się je chroni. Teraz to zarzucono, a myślę, że po takie formy pracy należy częściej sięgać. Problem ostatni: dobrze się stało, że na to spotkanie zostali zaproszeni dostojni przedstawiciele ZBoWiD-u. Chciałbym ponowić apel, z którym już niejednokrotnie występowaliśmy, o szersze udostępnienie nam pamiątek i dokumentów, zwłaszcza z chlubnego szlaku Lenino—Berlin.

Józef Plechta

pedagog, działacz ZBoWiD-u

Pragnąłbym w imieniu zbowidowców, a zarazem w imieniu własnym, ustosunkować się przynajmniej do trzech problemów. Nie można zrozumieć dnia dzisiejszego nie rozumiejąc dnia wczorajszego, bo dzień dzisiejszy wyrasta z jednego pnia — a tym pniem jest nasza Polska, która przewija się przez dzieje, to jest ta Polska, do której szukamy takiego klucza, żeby ukłon oddany tamtym dniom odpowiadał ukłonowi oddanemu dniom dzisiejszym. Szukamy czegoś, co by nam dało pomost między starymi i nowymi laty. Sprawa druga, może jeszcze większa: jeśli będziemy tylko dotykać naskórka rzeczywistości, to choćbyśmy mieli oczy szeroko otwarte, nie dojdziemy sedna. Bo trzeba przede wszystkim szukać korzenia, a ten korzeń tkwi w historii. Bardzo się ucieszyliśmy, że powstaje w Sączu stacja naukowa, placówka skupiająca historyków, która sięgnie również do naszych doświadczeń. I sprawa trzecia: Jest chyba cenne, że my, nauczyciele, podjęliśmy wielki trud i zorganizowaliśmy sesję popularnonaukową, na której sami uczniowie zajęli się tematem udziału młodzieży sądeckiej w ruchach narodowowyzwoleńczych od roku 1830 do roku 1945. Przecież mamy tu przepiękne tradycje! Udział Sądeczan w powstaniu listopadowym, związki z „czerwonym kasztelanicem", Wiosna Ludów. Sądzę, że gdy będziemy się odwoływać do faktów, to zapalimy młodzież. Bo różnie się o młodzieży mówi, ale jest faktem bezspornym, że to ona przejmie dziedzictwo i musimy ją do tego przygotować. Po to my, zbowidowcy, zbieramy i porządkujemy dokumenty i materiały, by oni zrozumieli, gdzie były te najprostsze drogi prowadzące do Polski i by pamiętali o prostym człowieku, który dał im to wszystko, co obejmują w posiadanie.

Irena Kawalcowa

dziennikarka

Chcę tu swym głosem trochę zamieszać. Kolega Ogorzałek naszą dyskusję wprowadził na bardzo wysokie tony.

Nowy Sącz — pomnik „Ofiarom faszyzmu"

O sztuce dziedziczenia

Wszyscy tutaj uklękliśmy przed naszą historią. Historia, tradycja jawi się nam jako coś pięknego, co mamy czcić, ochraniać, szanować. Bardzo pięknie. Ale w naszej historii, tradycji mieliśmy i rzeczy wstrętne, wredne, których nie należy ochraniać, ale które same do dnia dzisiejszego dotrwały. Powiedzmy sobie o naszym szlacheckim warcholstwie, o sobiepaństwie (szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, a dzisiaj dyrektor też równy wojewodzie i uważający, że to wszystko dla kraju nie jest ważne, bo on ma swoje interesy). A to pijaństwo, które z dworu szło przez te karczmy, które my tak troskliwie dziś odbudowujemy? To wszystko przetrwało i jest, i właśnie tutaj, na Podhalu, szerzy się w sposób zastraszający. Może nigdzie właśnie tak, jak tutaj. Obowiązkiem wszystkich ludzi kultury, nas wszystkich, którzy tutaj jesteśmy zebrani, którzy troszczymy się o to, żeby zachować piękno, zachować wszystko co najlepsze w kulturze — jest myślenie dla kogo, dla jakich ludzi to chcemy zachować. Jak przenieść na nich zainteresowanie dla tych spraw? Mówcie więc i o tym, co robić, żeby nie tylko zachować to co najpiękniejsze i najcenniejsze, ale jak walczyć ze złem.

Jan Pilarczyk

wiceprzewodniczący WRZZ

Nie pochodzę z tutejszych stron, ale wrosłem w nie całym sercem. Chciałbym zwrócić uwagę na parę — być może tylko drobnych — spraw z zakresu praktyki. Wydaje mi się, że tu, w Nowosądeckiem, potykamy się w naszych poczynaniach tam i tym bardziej, im dalej odchodzimy od tego, co jest najbardziej chyba charakterystyczne dla ludzi tej ziemi, co bardzo ich według mnie wyróżnia: autentyczność w postępowaniu. Potykamy się o tę barierę, jeśli chcemy w oddziaływaniu propagandowym, ideowym, po prostu oddziaływaniu na człowieka, ominąć tę autentyczność, tę prawdziwość. Nie ma prawdziwości bez autentyczności. I powiedziałbym też, że w swoim postępowaniu ideowym, wychowawczym zbyt pochopnie zmieniamy i formę, i treść. To zniechęca ludzi, szkodzi samej sprawie. Trzeba szczególnej ostrożności zwłaszcza tu, gdzie ta forma jest tak mocno ukształtowana. Chciałbym też o innej jeszcze, bardzo charakterystycznej cesze tutejszych ludzi powiedzieć. Mianowicie wydaje mi się, że przyroda tej ziemi ukształtowała sposoby zachowań, które niestety w pewnych środowiskach zaczynają odchodzić w siną dal, ale jeszcze na szczęście są ogromnie żywotne tutaj: upór, duże poczucie sprawiedliwości, odwaga w wypowiadaniu myśli. Są one olbrzymimi zaletami, a nie zawsze umiemy wygrać je dla naszej sprawy. Ludzie tutaj są też bardzo rozmowni. Tylko że my najczęściej do nich przemawiamy, a nie rozmawiamy z nimi. Marzy mi się też, żeby powróciły czasy mego dziada i ojca (nie w tym ciężkim wydaniu lat odbudowy, budowy i na piechotę maszerowania), kiedy społeczne rzeczywiście znaczyło społeczne, praca — praca, służbowe — służbowe. To znakomicie dodawało autentyczności, o którą tak dzisiaj walczymy, zapału, ludowej mądrości, do której nawiązanie byłoby nie tylko czczeniem przeszłości, ale takim jej rozumieniem, które by jeszcze trochę szerszą drogę torowało ku przyszłości.

Alfons Filar

pisarz z Zakopanego, działacz ZBoWiD-u

Jestem historykiem, nie z zawodu, lecz z wewnętrznej potrzeby. Znam więzienie, Armię Ludową, kombatancką działalność — to mnie skłoniło do wzięcia za pióro. Chęć przekazania historii, wspaniałych dziejów patriotycznych Podhala. Pracując w komisji historycznej ZBoWiD-u poznawałem relacje, wspomnienia, dokumenty. Tak zrodziły się „Opowieści tatrzańskich kurierów", dzieje sportowców-narciarzy. Chciałem, by ludzie, którzy dziś przyjeżdżają w Tatry, zachwycają się ich pięknem, dowiedzieli się, że są one zlane potem i krwią, że tu właśnie walczyli partyzanci polscy, radzieccy, słowaccy. W Kijowie stoi, jak wiemy, kamień z Tatr, symbolizujący wspólną partyzancką walkę. Trzeba by się zastanowić, czy nie warto i u nas stworzyć czegoś, co obrazowałoby naszą historię, co utrwaliłoby ją monumentalnie dla przyszłych pokoleń. Więcej należy włożyć trudu w upamiętnienie pięknych wolnościowych tradycji naszego regionu.

Zygmunt Goetel

historyk z Zakopanego, działacz ZBoWiD-u

Sztuki dziedziczenia intelektualnego nie można odziedziczyć w linii biologiczno-genetycznej. Nie wystarcza również żywa tradycja, na ustnych wyłącznie oparta przekazach, które przez pokolenia ulegają deformacji, przekształcają się w mity zawierające zaledwie okruchy prawdziwej wiedzy, choć czasem i ziarno dziejowej prawdy. W świadomości pokoleń i społeczeństw obraz przeszłości rozwijają i utrwalają źródła zachowane w warstwach kultury materialnej, w przekazach pisemnych i audiowizualnych. W oparciu o te różnorodne przekazy można też podjąć i prowadzić badania służące rozszerzeniu i pogłębieniu wiedzy o regionie nowosądeckim, o jego historii w szerokim rozumieniu zakresu tej dyscypliny naukowej — dla umacniania spójni wewnętrznej regionu, więzi regionu z krajem, związków przyczynowo-skutkowych przeszłości z teraźniejszością, dla programowania przyszłości. Pragnę tu zasygnalizować niektóre problemy geografii historycznej województwa nowosądeckiego, Ziemi Sądeckiej czy też Sądeczyzny i Podhala — wszak samo już nazewnictwo nie jest do dziś uporządkowane! Problem drugi to spójnia geograficzna i historyczna tych ziem, sprawa kształtowania się granicy południowej państwa polskiego. Chciałbym poinformować — bo wiąże się to z treścią dzisiejszego spotkania — że w najbliższych tygodniach w Zakopanem odbędą się wspólne obrady Komisji Regionalnej i Podręcznikowej Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego, dotyczące wydania specjalnej wkładki do podręczników szkolnych, przedstawiającej dzieje naszego regionu. Byłaby to właściwa regionalizacja nauczania historii w szkołach.

Władysław Michalus

wiceprezes Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD-u, Gorlice

Interesują mnie dzieje ruchu młodzieżowego i robotniczego. Uważam za niezbędne, aby ta działalność była lepiej udokumentowana, by więcej niż dotychczas czasu i wysiłku poświęcano dokonaniom i tradycjom robotniczym. Wszak środowisko robotnicze, klasa robotnicza, jej tradycje, doświadczenia, działacze wywarli bardzo duży wpływ na to, co się dzieje w naszym kraju obecnie. Nie ma powodu, by unikać pokazywania, że i złe nawyki kształtują współczesne życie, że hamują postęp, demoralizują. Ale na przykładzie klasy robotniczej można wspaniale pokazać, jak bezinteresowna była jej postawa, jakie efekty dawała, co zostało w konsekwencji jej działania trwałego do dziś. Postawa etyczno-moralna środowisk robotniczych może być dla nas wzorcem, bo — z pewnymi wyjątkami — zachowały one do dziś najpiękniejsze cechy, jak etyka zawodowa, solidność. To jest jedna strona ruchu robotniczego. Druga to działalność partii politycznych, organizacji politycznych społecznej lewicy, na którą się powołujemy, która dała początek naszemu ustrojowi. I tu znajdziemy wiele ciekawych, bogatych i pouczających przykładów bezinteresowności, zaangażowania, dbania o społeczne dobro czasem bardziej niż o własne. Znamienne, że postawy takie kształtowały się w warunkach politycznego terroru. Świadczy to o sile tego ruchu, o właściwym doborze form działania, o zaangażowaniu. Ukazanie tego, w nawiązaniu do konkretnych ludzi, daje przekaz przez pokolenia.

Tadeusz Szczepanek

Ośmielę się postawić tezę, że nawet najdoskonalsza publikacja historyczna nie zastąpi nam sprawy uratowania dokumentów, oryginału, autentyku. Jeśli więc mamy czerpać z przeszłości, to główny nacisk musimy kłaść na ratowanie oryginału, na badanie źródeł.

(DALSZY CIĄG NA STR. 12)

Sucha Dolina

Nowy Sącz — Cmentarz Komunalny — grób mjr. Jerzego Iszkowskiego

O sztuce dziedziczenia

(DALSZY CIĄG ZE STR. 11)

Cóż warta najdoskonalsza publikacja o starym cmentarzu zakopiańskim, jeśli tego cmentarza nie obejrzymy? Publikacja da nam pewną sumę wiedzy, ale nie będzie kształcić uczuć i wrażliwości. Cóż warta najdoskonalsza publikacja o Tatrzańskim Parku Narodowym jako narodowym muzeum przyrody, jeśli nie uratujemy śladów człowieka w tych Tatrach? Chrońmy przyrodę nie przed człowiekiem, ale razem z człowiekiem. Nie wyrywajmy też obiektów dokumentalnych z kontekstu. Inaczej sprowadzimy wszystko do jakiejś sumy wiedzy archiwalnej. Dlatego opowiadam się za ratowaniem krajobrazu kultury narodowej, sądeckiej czy góralskiej. Nie podkreślajmy też stale tego, co dzieli, lecz to co łączy. — A łączyć może tylko kultura, chłopskie trwanie i istnienie. I dlatego skupiać się będę na tym, by przekształcić umiejętność dziedziczenia w ratowanie kultury chłopskiej.

Józef Plechta

Wydaje mi się, że wyważamy tu otwarte drzwi, bo przecież 35-lecie przez mądrość Partii zostało wpisane w 60-lecie Rzeczypospolitej. Ale chciałbym zwrócić uwagę na pewne białe plamy. Mimo że Sądeczyzna została szeroko spenetrowana, są one jeszcze. Wiemy, na przykład, że walczyła tu partyzantka polska i radziecka — ale czy pamiętamy, że ani jeden partyzant nie mógłby żyć tutaj i walczyć, gdyby nie prosty chłop? A on został odsunięty na plan dalszy, a jeśli zaczynamy z nim rozmawiać, to często niewłaściwie, obcym mu językiem. I wtedy zamyka się w sobie. Jest to poważne zadanie dla historyka.

Andrzej Marczyk

emerytowany pracownik ZNTK, uczestnik szlaku bojowego Lenino—Berlin

Reprezentuję grono zbowidowskie, a będę się wyrażał językiem robotniczym, bo jestem tylko rzemieślnikiem i nikim więcej. Jest pewien problem, który mnie zawsze nurtuje i chyba do ostatniego tchu mego życia będzie nurtował: przekaz młodemu pokoleniu patriotyzmu, wychowanie młodego pokolenia w duchu patriotyzmu. Jeżeli dzień dzisiejszy rodzi się z dnia wczorajszego, to ta młodzież, która dziś dorasta, i ta, która bierze się za ster państwowy każdego szczebla, winna wiedzieć, z czego wyrosła i gdzie był początek obecnej rzeczywistości. Próbowałem wielokrotnie przekazać młodym swe doświadczenia, często jednak stwierdzałem, że rozmowy te dają im wiele, to prawda, ale mają zbyt niską temperaturę. Za mało też o tych sprawach wiedzą sami wychowawcy. Za mało dziś dostrzegam patriotyzmu. Ileż razy wspominam fakt, gdy w 1943 roku przyjechałem do polskiego wojska i na komisji poborowej zobaczyłem chłopca, który wmawiał w lekarza, że ma siedemnaście lat. Podnosił się na palce, żeby być wyższy! A z odległości kilku kroków ojciec, szpakowaty, pod wąsem, potakiwał. A faktycznie dziecko miało lat czternaście i pół! Kłamali obaj — ojciec i syn. W imię czego? Jeśli chodzi o chłopca, to jeszcze można sobie tłumaczyć, że chciał przeżyć przygodę. Ale ojciec znał już wojnę, zdawał sobie sprawę, czym jest wojna. Nie, towarzysze, to była miłość do ojczyzny, to był ten zryw patriotyczny, gdy po latach tułaczki na obczyźnie ukazała się możliwość chwycenia za broń i walki za Polskę, mszczenia krzywd narodu.

Nie wiem czemu zaznaczają się dziś pewne tendencje, by „skończyć z tym rozdzieraniem szat", mniej jest spotkań z młodzieżą, młodzież czasem niechętnie patrzy na filmy o martyrologii. A przecież tego nie jest nigdy za wiele. Nurtuje mnie jakaś ukryta wątpliwość, jak zachowałaby się nasza młodzież, gdyby (wierzę, że tak się nie stanie!) znalazła się w takich jak my warunkach, wojny i okupacji? Czy nie pytałaby „za ile"? To mnie bardzo martwi, a chyba mam prawo o to pytać, bo wiem, co znaczy wojna, co znaczy tragedia wojenna.

Kiedy dzieci moje były w szkole podstawowej, często brałem do ręki ich książki i jest mi przykro, że bardzo różniły się od moich. Te czytanki dziś są takie banalne. W mojej każda czytanka to była albo historia, albo geografia; wyrabiały ducha patriotycznego. Wiele jeszcze pamiętam fragmentów wierszy, w których każde słowo było patriotyczne. Tego nie widzę w szkole dzisiejszej. A taka sytuacja odbija się niekorzystnie na postawach młodzieży.

Ewa Ślazyk

zastępca komendanta Nowosądeckiej Chorągwi ZHP

Pod adresem młodzieży padło tutaj kilka określeń, z którymi nie bardzo mogę się zgodzić. Powiada się, że młodzież jest zmaterializowana, że jest aspołeczna, że nie dostrzega tego, co budowało jej dzień dzisiejszy, że jest taka niedookreślona. Czyja to jest wina? Skądś się to musiało wziąć. Młodzież ktoś kształtował. W moim odczuciu osobistym, a pracuję z młodzieżą już piętnaście lat, jest zupełnie inaczej. Jeśli zaś nie zawsze jest jak chcielibyśmy, to powinniśmy poszukać błędów, skorygować nasze własne postawy, bo one też są wzorcem, z którego czerpie młodzież. Sprawa wychowania patriotycznego... dostrzegania tego, co przodkowie nam dali. Tego pięknego dziedzictwa. Tego wielkiego, trudnego, i tego codziennego, mozolnego, dostrzegalnego na co dzień, oblanego potem. Co robimy w tej dziedzinie? Tak się składa, że reprezentuję związek, który cały swój program, obrządek, zwyczaj zasadza na tej najpiękniejszej tradycji narodu polskiego. Stąd na przykład bierze się sprawa bohatera drużyny, szczepu, chorągwi, stąd te świetlane postacie patronów (w przypadku naszej chorągwi — Janka Krasickiego), stąd cała kampania „Bohater" trwająca dwa lata. Przeciekawe zadania, ogromnie inspirujące intelektualnie i dające ogromny wachlarz oddziaływań emocjonalnych właśnie. Co dają nam te imprezy, czy dobrze służą wychowaniu patriotycznemu? Myślę, że tak! U nas impreza jest już finałem, zamknięciem długotrwałego procesu, długiej drogi, momentem wybijającym to, co chcieliśmy osiągnąć. I wtedy jest to nasza wygrana.

Jan Pilarczyk

Chciałbym jeszcze dodać trzy stwierdzenia. Po pierwsze — gdyby się wychowanie (w tym wychowanie historyczne, a dziedziczenie jest wychowaniem) dało wtłoczyć w jakieś rubryczki, formuły i sposoby, to mielibyśmy życie ułatwione tak, że życia by nie było. Po drugie — prawda jest taka: (może smutna!) że to co idzie za nami, jest naszą fotografią. Czasami inną niż byśmy chcieli, czasami bez retuszu, ale tym ostrzejszą. Po trzecie — chcę zaproponować, żeby jedną z następnych rozmów, które będziemy w „Kuźnicy" toczyć, poświęcić sprawie dziś może niezbyt popularnej, ale — wydaje mi się — koniecznej dla uświadomienia sobie złożoności kwestii, że nie można wychowywać, także historycznie, a więc dziedziczyć, bez odpowiedniej bazy materialnej. A zatem czy i jak wykorzystujemy tę materialną bazę. No bo popatrzmy — czy dzisiejszy dom stanowi w swojej większości autentyczną bazę materialną historycznego wychowania? Bloki, sposoby bycia, brak galerii przodków, brak domowych bibliotek — to przecież nie jest baza. Galerie i muzea to tylko namiastki, bo coś musi zastąpić ten brak podstawowy. A prawda jest taka: jeśli w domu nie wsiąknie coś porządnie we mnie, to wszystko inne jest może moje, ale trochę obce. Niestety. Mój jest dom, moja wieś, potem coś jeszcze moje i w sumie jest to moja Ojczyzna. Chcemy, abyśmy mówili moje-nasze, a najzwyczajniej w świecie nie mamy do tego materialnej bazy.

Józef Plechta

Usłyszeliśmy tu dużo słów pięknych, mądrych, przemyślanych i tak dalej, ale powiedzcie, jak się to stało, że cała nasza rozmowa w pewnym momencie zeszła na problemy młodzieży? Ich wymiar widzenia świata jest nieco inny. I dlatego choćbyśmy mówili o młodzieży z jednej strony, że jest hiperpatriotyczna, z drugiej, że jest zmaterializowana, to mówimy tylko pół prawdy, cała prawda zamknięta jest w osobowości tej generacji, która wchodzi w życie.

Zbigniew Siatkowski

historyk literatury z Krakowa

Kiedy myślałem ja, który nie jestem obywatelem tego województwa, jak

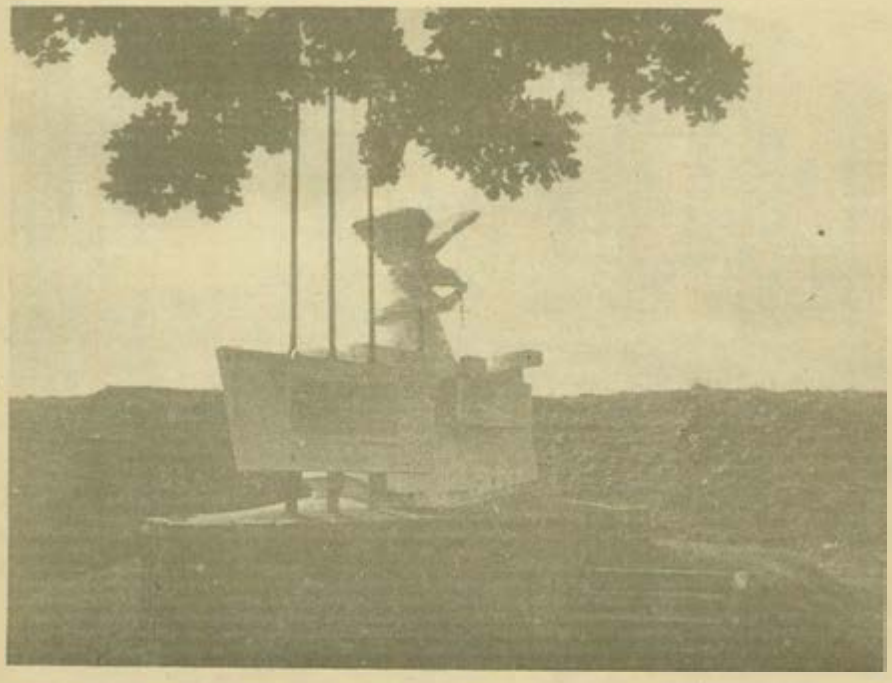

Słopnice

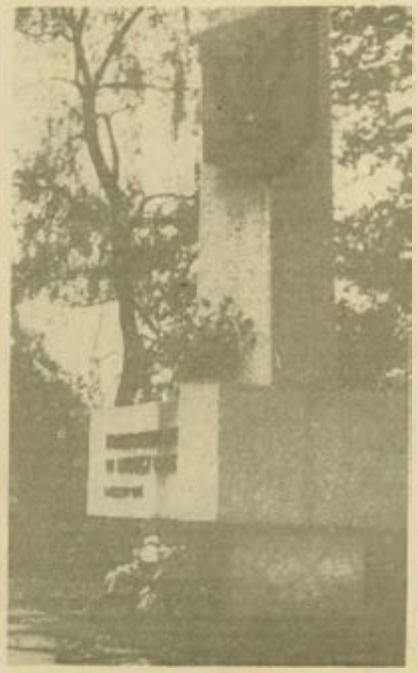

Nowy Sącz — ZNTK

O sztuce dziedziczenia

mam odpowiedzieć na pytania dotyczące szczególnych wartości regionu, wartości przydatnych dla sztuki dziedziczenia (a więc więcej, grubo więcej, niż umiejętności — umiejętności o emocje wzbogaconej, bo to dopiero jest sztuka), to pomyślałem, że może macie rację, może ktoś powinien na to popatrzeć od zewnątrz i powiedzieć nie tylko co województwo ma do zaoferowania, ale czego Polska właśnie stąd potrzebuje. I pomyślałem sobie, że oprócz rzeczy oczywistych, o których wie cała Polska, i oprócz rzeczy dobrze wkorzenionych w świadomość regionu, o których tutaj mówiono barwnie, precyzyjnie i w sposób budzący ogromnie dużo szacunku, chciałbym powiedzieć o dwu ważnych, choć trudnych sprawach z dziedzictwa historycznego i o jednej ważnej, i jak sądzę też trudnej, sprawie z dziedzictwa psychologicznego. Wszystko to już było tu przedmiotem dyskusji — mnie pozostają tylko glossy.

Jedną z tych spraw jest nasz stosunek do historii, nasza umiejętność lub nieumiejętność, czasem zbytnia ostrożność w sięganiu do faktów, do źródeł. Ta ostrożność często sprawia, że obraz naszej historii staje się spłaszczony, niepełny, powiedziałbym nawet: fałszywy. A myślę, że trzeba umieć mówić pełną prawdę, ryzykować prawdę w imię uzdrowienia narodowej pamięci i narodowej wyobraźni. Bez uzdrowienia narodowej pamięci i narodowej wyobraźni nie da się wychować młodzieży w żadnym pokoleniu. Ta młodzież dzisiejsza, o której osobowości zbiorowej z nadzieją mówi towarzysz Plechta, jest wychowywana przez nas, naszymi talentami, ale i naszymi skurczami i zaciskami. Naszym dorobkiem dziejowym, ale i naszym zawstydzeniem wobec naszej własnej historii. Tak można wychować dobrze młodego człowieka, ale nie zapewni mu się swobody psychicznej, poczucia autentycznie luźnych warunków do wzrastania i dojrzewania samodzielnego. Myślę, na przykład, że prawdziwa rozmowa o bohaterze Janku Krasickim byłaby wstrząsającą i pełną dramatyzmu rozmową nie tylko o powikłanej i dramatycznej biografii człowieka, który się musiał zmieścić w dwudziestu paru latach, ale i o powikłanej, dramatycznej biografii polskiego pokolenia, które musiało wziąć niezwykle ostry zwrot w historii silniejszej niż wyobraźnia tego pokolenia na to pozwalała. Dlatego nie tyle zerwanie zasłony, ile mądre polityczne spojrzenie na te sprawy bardzo wiele pomoże w odnajdywaniu w tradycji tego regionu wątków przydatnych dla socjalistycznej formuły kształtowania polskiego patriotyzmu.

Sprawa druga: nie miniony fakt historyczny wychowuje człowieka, nie kamień, nie blacha i nie olej na płótnie — człowieka może wychować żywy człowiek. Nigdy nie da się nic ważnego zrobić dla sprawy socjalizmu, jeżeli po stronie tej sprawy, jawnie i widomie w jej imieniu, nie stanie rzesza ludzi, którzy nie tylko będą mogli o sobie powiedzieć „my" — co bardzo ważne — ale jeszcze każdy z nich jawnie i widomie, przy ludziach, będzie mógł powiedzieć, „ja, socjalista". Na godną nową zmianę socjalistyczną młodzież mogą wychować tylko socjaliści. Nie faktami historycznymi buduje się człowieka, człowieka buduje się wszczepianiem weń umiejętności dokonywania syntez historycznych. Ponieważ ostatnia pośród syntez, i najistotniejszą, której ma dokonać człowiek, osobowość — jest synteza historyczna czasu, który przyjdzie, w którym my już uczestniczyć nie będziemy, a on w naszym imieniu i w naszym dziedzictwie będzie robił nową Polskę, oby jak najbliższą naszym wyobrażeniom i ryzyku naszej własnej walki.

I dlatego z tymi dwoma historycznymi ujęciami sprawy wiąże się trzecie, o którym pomyślałem, że jest psychologiczne, i którego my, Polacy — Polska — mamy prawo się spodziewać po ludziach z tego terenu. To jest duma. Bo nie ma patriotyzmu bez poczucia dumy. Jest on wtedy elementem twórczym dla kształtowania osobowości jednostki i dla kształtowania osobowości narodu, kiedy jest elementem odwołującym się zarówno do wartościowych pierwiastków dokoła człowieka, jak i do wartościowych pierwiastków wewnątrz człowieka. Model dumy, który polska literatura zawdzięcza doświadczeniom górskim i góralskim, ten model, który polskie zbiorowe poczucie, polska potoczna wiedza o Polakach i polskości zawdzięcza wyobrażeniom o góralach, ten model wynika z hardości polegającej na tym, że człowiek ufa swojemu własnemu, sprawdzonemu stanowisku, sprawdzonej postawie. Tutaj się zastanawiamy nad modelem nie tylko w stosunku do faktów historycznych, ale nad modelem w stosunku do historii jako całości czyli do życia trwającego po nas, a poczętego przez naszych pra-pra-przodków. I poczucie dumy, hardości, godności ludzkiej w jego upartym, powiedziałbym: zbójnickim wariancie, tak bliskim tradycjom tej ziemi, jest czymś, czego warto by się uczyła cała Polska. Dlatego, że to coś skrystalizowało się i w dokonania, i w kulturowe typy jednoznacznie mówiące. Ale z tego naprawdę będzie można korzystać dopiero wtedy, kiedy przy tym dziedzictwie, przy tym skarbie stanie mądry, odważny, współczesny gospodarz tego skarbu. W naszej generacji to może być tylko jeden gospodarz — to może być tylko nasza Partia.

Julian Kawalec

To, co ja chciałem powiedzieć, zostało już dotknięte, i to mocno, tak że moje słowo może być tylko drobnym przyczynkiem do tego ważnego, do tego obszernego, do tego mądrego słowa, które tu zostało już wypowiedziane przez zebranych. Nad naszą rozmową króluje słowo „dziedziczenie". Ale żeby było dziedziczenie, to muszą być przy sobie ręce, muszą być przy sobie dusze, musi być pokolenie przy pokoleniu. A niekiedy tak bywa, i bardzo często bywa (jest to chyba błąd wychowawczy), że pomiędzy ojcem i synem właściwie już bardzo dawno została stworzona ogromna luka, przestrzeń. Że syn został popchnięty w kierunku świetlanej przyszłości, jak się to nazywa, a ojciec, dziadek, został cofnięty w kierunku przeszłości, na skraj jak gdyby grobu. Bardzo często został on cofnięty z zespołem może niepotrzebnych nawyków, takich, które już by się nie przydały współczesności, ale najczęściej z zespołem przecennych diamentów psychicznych, z zespołem ogromnie istotnych wartości etycznych. I właśnie bardzo często nie wyciągnęliśmy ręki, a należało wyciągnąć, i nie wyciągnęliśmy myśli, i nie poleciało w tamtym kierunku nasze wzruszenie, ażeby te wartości etyczne przyjąć, przybliżyć do współczesności, ponieść w przyszłość i sprawić, ażeby się one nie zestarzały.

Słowo o pracy... Jaki był stosunek do pracy naszych dziadów? Do człowieka pracy? Ich kult czynu, ich niechęć do pozorów, ich oszczędność... sprawy proste, praktyczne. Wydaje mi się, że jeśli mówimy o dziedziczeniu, to także należy mieć na uwadze rzeczy praktyczne, codzienność. Przenosić także rzeczy takie, które by służyły godzinom współczesnym. Gdzieś się nam to zapodziało. Stary chłop nie dał się nabrać na pozory. On musiał widzieć krowę, płot, pole — jak jest uprawiane, jak się przedstawia podwórze, dom, budynki gospodarskie. Wtedy dopiero oceniał człowieka. Wtedy kryterium oceny był czyn, był konkret, była rzeczywistość, były ręce spracowane — żadna gimnastyka słowna, żadne dyganie; nie dał się nabrać. W mojej wsi mówili o kimś „on szkli", „on szklarz", to znaczy, że on „maluje kolorowo" samego siebie.

A sprawa oszczędności. Właściwie ile my tracimy przez to, że marnujemy, marnotrawimy wiele rzeczy? Zwracam uwagę na te sprawy, może też i ekonomiczne, gdyż chcę podkreślić tę prawdę, że nie ma rozwoju ekonomicznego, gdy ekonomika nie jest nasycona etyką, moralnością, właściwym, rzetelnym, jak się to mówi, stosunkiem do pracy. Nie ma ekonomiki, jeśli człowiek nie rozmawia ze swoim sumieniem, gdy jest przy maszynie. To wszystko wiąże się też z dziedziczeniem. Chciałbym właśnie to pojęcie przenieść z górnej teorii filozoficznej na ziemię. Żeby korzystać z dziedzictwa naszych ojców w zwykłych, szarych godzinach dnia codziennego.

Taki byłby ten mój przyczynek. Bo tutaj nie może być jakiegoś podsumowania, ja nie mógłbym się tego podjąć. Myślę, że te wszystkie głosy będą żyć w dalszych rozmowach. Pragnę serdecznie podziękować przybyłym tu naszym przyjaciołom za tę rozmowę i prosić ich również na przyszłe nasze rozmowy, które niewątpliwie nastąpią.

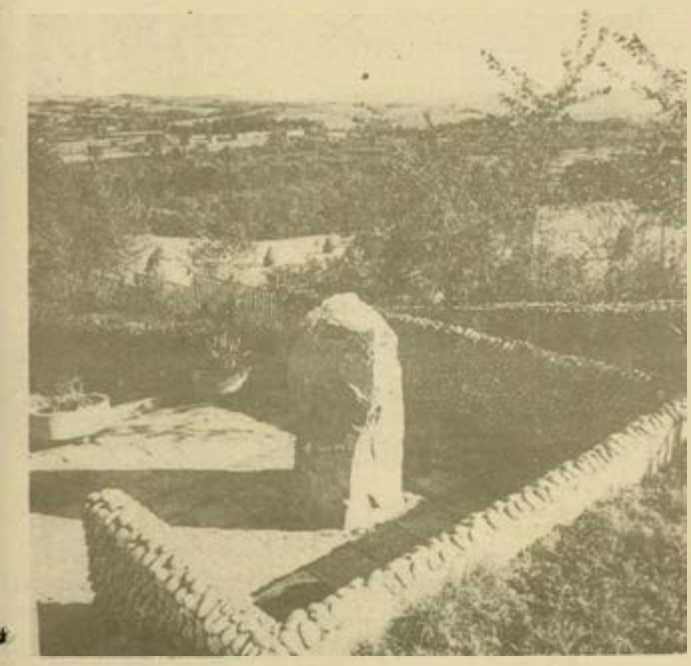

Rdziostów

Zakopane-Kuźnice
Zdjęcia miejsc pamięci narodowej wykonał STANISŁAW ŚMIERCIAK

Na szlaku wiodącym z Podhàla do Pienin i Kotliny Spiskiej leży Dębno, wieś, która od dziesiątków lat przyciąga turystów XV-wiecznym kościółkiem — najwyższej klasy zabytkiem ludowej architektury. Dla miłośników i badaczy sztuki ludowej ta stara, jeszcze drewniana wieś jawi się atrakcją też w innym sensie — ze względu na miejscowego świątkarza i poetę JÓZEFA JANOSA.

Edward Waligóra

JANOS Z DĘBNA

(fragment)

Fot. WŁADYSŁAW WERNER

Jak podaje księga metrykalna parafii w Maniowych, urodził się w Dębnie 10 grudnia 1895 roku. Chodził do miejscowej czteroklasowej szkoły. W okresie powszechnej mobilizacji w roku 1914 wzięto go do wojska austriackiego i walczył na froncie w Karpatach Wschodnich. Po dwóch latach wrócił stamtąd jak z piekła, z głębokim urazem psychicznym. Wojna porozrzucała mu myśli. Wrócił jako inwalida z odmrożonymi stopami.

Po latach wspólnego z rodzicami gospodarowania w roku 1931 Janos usamodzielnia się, za pieniądze uskładane z renty inwalidzkiej buduje naprzeciwko ojcowizny dom z grubych pni, w którym mieszka i pracuje do dzisiaj: dwuizbowy z sienią, bez światła i wody, z małym ogródkiem, w którym jest studnia.

Stworzył dotychczas kilkaset rzeźb, z których część należy do najwybitniejszych osiągnięć współczesnej ludowej sztuki. Cenić w nim przystoi nade wszystko ludowy autentyzm i upór, który prostemu góralowi pozwolił stać się artystą. Pierwszy samodzielny etap życia, przypadający na lata trzydziestę, wiedzie go od rzemiosła ku sztuce rzeźbiarskiej. Aby żyć i aby znaleźć swoje miejsce we wsi, nauczył się kołodziejstwa. Robił dyszle, beczki, sąsieki, uprawiał ogródek, hodował pszczoły, ale coraz częściej imał się stolarki. Wolny czas poświęcał na robienie mebli, przy nich mógł przejawiać biegłość w obróbce drewna i drzemiące dotąd zamiłowanie do rzeźbienia. Wykonywał łyżniki, zydle, stoły, potem listwy, półki góralskie oraz inne sprzęty domowe. Wykonywał je dla siebie, rodziny i dla sąsiadów za różne usługi gospodarskie. O ich stylu świadczą okazy znajdujące się w izbach jego domu i w czarnej izbie siostry — dzisiaj jedynej jego opiekunki. Janos był samoukiem, nigdy u nikogo nie uczył się snycerki ani rzeźby. Tutaj ma się to we krwi.

Oprócz wykonywania mebli, rzeźb i sprzętów kościelnych Janos stawiał nowe kapliczki lub starym „domkom" (jak je nazywał) strugał nowe rzeźby. Kapliczki te — najpierw skromne, a potem coraz paradniejsze — można znaleźć w polach, przy drogach, na drzewach, na ścianach domów, na cmentarzu i w ogrodach zarówno w Dębnie, jak i okolicznych wsiach.

Wcześnie przerzuca się na płaskorzeźbę, która okazała się jego ulubioną dziedziną. Wprawdzie rzeźbę pełną wykonuje aż do dzisiaj, to jednak stanowi ona niezbyt duży procent całej twórczości. Płaskorzeźba (czy stolnica, jak ją nazywa) stała się dla niego główną formą wypowiedzi — z jednej strony dając szansę przedstawienia scen, z drugiej zaś pozwalając ukazać duże możliwości dekoracyjnego traktowania powierzchni. W tym gatunku Janos zaspokajał swe poczucie fantazji, potrzebę narracji, monumentalizmu, a także wyniesionego właśnie z meblarstwa warsztatu z charakterystycznym dla góralszczyzny upodobaniem do ornamentu. Płaskorzeźby są dobrze zakomponowane i pomimo konwencjonalnych szat postaci i statyki mają dużo wdzięku w rysunku i formie.

Z końcem lat trzydziestych Janos osiągnął pełną samodzielność twórczą i własny styl, w którym dojrzałość formy wiąże się z własną interpretacją tematu. Wskazuje na to krystalizacja poglądów, przy której najważniejszą rolę odegrała świadomość talentu rzeźbiarskiego.

Zaczął traktować swoją twórczość profesjonalnie, a nie na marginesie gospodarskich zajęć, jak to bywało zwykle u twórców ludowych. To zaś sprzyjało płodności, wzbogacaniu tematyki, poza rzeźbą właściwie już nic go nie interesowało. Nie założył rodziny, zaś rodzaj uprawianych zajęć coraz bardziej eliminował go z życia wsi, po śmierci rodziców doprowadzając wręcz do skłócenia i zerwania z braćmi, a nawet z całym środowiskiem.

Pomimo narastającej izolacji Janos gorliwie i zapamiętale trzymał się Dębna. Jego prace zaczęły znajdować coraz liczniejszych nabywców wśród zwiedzających kościółek w Dębnie, jak też wśród miłośników sztuki ludowej i artystów. Wnosili w jego życie inny świat: nie tylko potrzebne życzliwe zainteresowanie, ale też inspirację, nawet motyw, książkę, ilustrację lub dobrą radę, która czasami odbijała się cechami zdumiewająco obcymi w stosunku do kultury, w kręgu której Janos się ukształtował. Ale też dużo tym kontaktom zawdzięczał.

Lata wojny spędził w domu. Rzeźby z tego okresu wskazują na dalsze wzbogacenie tematów, zróżnicowanie interpretacji i głębszą obserwację natury. Pojawia się ruch, bardziej realistyczny modelunek i większa ilość szczegółów.

Tuż przed wojną odwiedził Kraków, który wywarł na nim ogromne wrażenie, zwłaszcza kościół i ołtarz Mariacki. Kupił rower, dzięki któremu zwiedził też wiele wsi i kościółków na Podhalu, ale do Zakopanego przyjechał dopiero w roku 1945.

Po wojnie był ponownie w Krakowie, a także z pielgrzymką w Częstochowie i w Kalwarii. W listach do znajomych pisał o Podhalu i tradycji góralskiej, o urodzie Krakowa i serdeczności jego mieszkańców, a także o zakupach, jakie zrobił w mieście. Z radością pisał o kupnie plecaka, dętki i opon do roweru, który tak przybliżał mu świat.

W roku 1945 zaczął pisać poezję. Ze względu na trudności językowe jakie musiała sprawiać swym ewentualnym czytelnikom nie wzbudziła większego zainteresowania i zrozumienia.

W latach 1947—49 Janos tworzy cykl pełnych rzeźb m. in. Św. Józefa, Św. Hieronima, Św. Franciszka, postać Chrystusa Zmartwychwstałego, Ukrzyżowanego i krzyż procesjonalny. Przygotowuje też cykl Stacji Męki Pańskiej, który w kilka miesięcy później sprzedaje do kościoła w Rzepienniku Strzyżewskim koło Tarnowa.

Droga Krzyżowa — pierwsza z pięciu, jakie wykonał — zapoczątkowała najbardziej płodny, monumentalny okres w jego twórczości. Wybudowany po II wojnie światowej kościół rzepiennicki, pomalowny przez Curyłową i malarki z Zalipia i wyposażony później w rzeźby z Paszyna, stał się drugim po Dębnie muzeum twórczości Janosa i przykładem gromadzenia także przez Kościół autentycznych i wartościowych dzieł sztuki ludowej.

Pod wpływem zachodzących zmian w życiu społecznym kraju i nowych założeń polityki kulturalnej państwa począwszy od 1950 roku Janos podejmuje tematykę świecką. Na wystawie sztuki ludowej w Zakopanem w roku 1951 pokazuje pierwsze płaskorzeźby z cyklu Zbójnicy, na nowo wprowadzając do współczesnej sztuki polskiej ów motyw ludowego bohatera. Inspirowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki bierze udział niemal we wszystkich konkursach i wystawach sztuki ludowej, zarówno regionalnych, ogólnopolskich, jak i zagranicznych (Moskwa 1948, Rzym 1953, Londyn 1956). Prace jego wielokrotnie nagradzano i wyróżniano.

Podczas pobytu w Polsce jesienią 1953 roku wybitny pisarz angielski, Graham Greene, zwiedzając w towarzystwie Jana Dobraczyńskiego Dębno, zapoznał się z rzeźbami Józefa Janosa. Dzieła Greene'owi tak się spodobały, iż zakupił od twórcy czternaście płaskorzeźb Drogi Krzyżowej — nowej wykonanej wtedy przez Janosa wersji.

Trzeci etap twórczości Janosa przypada na koniec lat pięćdziesiątych i lata sześćdziesiąte. Jest to okres realizacji zamówień dla wiejskich kościółków. Janos w miarę wzrostu społecznego uznania wobec siebie, czego wyraz dawały recenzje prasowe, kronika filmowa i fachowe pisma otrzymywał coraz liczniejsze zamówienia, którym nie mógł lub nie chciał sprostać, aby nie łamać własnych zasad twórczych. Uprawianie sztuki już od wielu lat stało się dla niego głównym i bez mała jedynym zajęciem. Żył z wykonywania swoich prac; wprawdzie żył pracowicie i surowo, wręcz prymitywnie, ale niezależnie.

Był zawsze przekonany, iż własne prace można oddawać wyłącznie w ręce tych, którzy je szanują, a nie tych, co tylko mają pieniądze. Toteż przebierał wśród odbiorców, zrywał wstępne umowy i cierpiał, gdy wykonane dzieła malowano lub poprawiano. To raniło jego poczucie dumy. Kiedy autor tych słów w roku 1977 jako dyrektor muzeum pertraktował z Janosem o zakup do zbiorów krakowskich dużej kolekcji starych i nowych rzeźb, cała dyskusja dotyczyła nie tyle spraw finansowych, ile przede wszystkim ekspozycji: jak te rzeźby w muzeum przedstawić publiczności i jak jego — Janosa — zdaniem muzeum powinno by je pokazywać, aby cieszyły zwiedzających i były dla nich zrozumiałe.

Na tle współczesnej sztuki ludowej twórczość Janosa wyróżnia się własnym obliczem, stylem indywidualnym. W epoce wielkich przemian, które dokonały się na wsi i w kulturze ludowej, stanowi ona żywy przykład utrzymania się tradycyjnej ludowej sztuki, gwary i obyczajowości polskiej na wsi — oraz rodzenia się wartości nowych. Życie Janosa wypełniło XX wiek, towarzyszyło dorobkowi trzech różnych pokoleń artystów ludowych i dzięki temu twórczość jego mogła stać się pomostem pomiędzy tradycją a współczesną sztuką ludową. Rzeźba jego wyrosła z góralskiej ciesiołki i z rzeczywistych potrzeb społecznych, toteż przez społeczność jest akceptowana. Treści w niej zawarte szczerze wyrażają pojęcia tej społeczności. Janos swe prace tworzył uczciwie, poza zmieniającymi się modami, koniunkturą i preferencjami stowarzyszeń czy organizacji handlowych. Tworzył sztukę, która interesowała nie tylko wieś. Ta sztuka była wprawdzie nierówna i nie zawsze wolna od nieporozumień, jednak z ogromnej liczby prac — mebli i sprzętów, kapliczek i stacji, ołtarzy i płaskorzeźb świeckich — przebija autentyczny ludowy talent, zdolny wzbudzać uczucia i poruszać wyobraźnię. Ten świątkarz był pionierem zeświecczenia sztuki, odrodzenia w niej ludowego bohatera i zawłaszczenia na rzecz wsi tradycji największych twórców narodowej kultury. Samorzutnie ratował wiejski krajobraz przed wyjałowieniem z zabytków, a wiejskim kościółkom Podhala dostarczał — zamiast odlewów gipsowych — ludowe dzieła o wysokiej wartości.

Kilkuletnie badania autora tego tekstu pozwoliły rzucić pełniejsze światło na twórczość Janosa i zorganizować w Muzeum Etnograficznym w Krakowie wystawę dwustu z górą rzeźb, rysunków, listów i dokumentów — a także poezji, której poznanie ma istotną wagę dla zrozumienia jego osobowości.

Wielu rzeźbiarzy i malarzy ludowych zajmowało się też pisaniem wierszy. W tym względzie Janos nie jest odosobniony. Poezja stała się dla niego drugą pasją twórczą, dowartościowaniem życia, ukazaniem innych niż rzeźbiarskie możliwości wewnętrznych. Poezja Janosa stawia przed kimś, kto do niej dociera, wiele przeszkód, głównie językowych — lecz przynosi w zamian równie wiele pięknych myśli, niepospolitych przenośni, ma smak starej pieśni kościelnej, w której kręgu emocjonalnym rodziły się strofy rzeźbiarza z Dębna. Do dziś jest — nawet specjalistom — mało znana i zupełnie nie doceniana.

Znów losy zagnały mnie na wielką międzynarodową imprezę narciarską, tym razem do przyjaciół, na drugą stronę Tatr, do Szczyrbskiego Jeziora na tradycyjny — już XV Puchar Tatr, z którego gospodarze zrobili jubileusz

Co to za jubileusz „piętnastolecie"? — może zapytać każdy. Sami gospodarze przyjęli go z przymrużeniem oka, ale trzeba było koło tej sprawy zrobić wiele szumu, przekonać Międzynarodową Federację Narciarską FIS, że w CSRS uroczyście obchodzi się „piętnastolecia" tylko po to, aby z okazji takiego święta otrzymać organizację dwóch ostatnich konkursów pierwszej edycji Pucharu Świata w skokach narciarskich. Ten finał Pucharu Świata ściągnął prawie wszystkich najlepszych skoczków naszego globu i oczywiście był gwoździem programu 15-tych zawodów o Puchar Tatr.

Marian Matzenauer

JAK ONI TO ROBIĄ?

(korespondencja własna „Dunajca" ze Szczyrbskiego Jeziora)

Jest to już tradycyjna impreza o doskonałej renomie, gromadząca zawsze wiele gwiazd światowego narciarstwa. Przy tej okazji warto wspomnieć, że pierwszy „Puchar" odbył się 1949 roku w Zakopanem i mieliśmy go organizować na przemian z przyjaciółmi Słowakami.

Aż łza się w oku kręci... Zrezygnowaliśmy z tej imprezy, jak również niemal całkowicie z narciarskiej przygranicznej współpracy. Wolimy mówić o przyjaźni i dobrych chęciach, ale niestety tylko — mówić.

Na XV Puchar Tatr Polski Związek Narciarski zapowiadał — prócz skoczków na Puchar Świata — 22 osobową ekipę biegaczek, biegaczy i dwuboistów klasycznych, lecz na kilkanaście godzin przed otwarciem zawodów odwołał przyjazd ekipy. Gospodarze byli bardzo rozgoryczeni, gdyż między innymi liczyli na start Józefa Łuszczka, który w poprzednich latach wygrał tu biegi na 15 i 30 km oraz na naszych dwuboistów klasycznych, którzy cieszą się na Słowacji znakomitą renomą.

Gdy na konferencji prasowej dość ostro zaatakowali mnie w tej sprawie dziennikarze CSRS, sprytnie wybrnąłem z sytuacji. Było nas trzech polskich dziennikarzy na sali, bowiem jeszcze red. Leszek Drapiński z katowickiego „Sportu" oraz red. Jerzy Wykrota z „Trybuny Robotniczej".

Odpowiedziałem kolegom, że za brak odpowiedniej współpracy są między innymi właśnie oni odpowiedzialni, bowiem jeśli na ich „Pucharze" zawsze są polscy dziennikarze, to w ostatnich latach nie widziałem ani jednego dziennikarza z Czechosłowacji na największej polskiej imprezie narciarskiej — Memoriale Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. To prawda — a więc udało mi się obronić atakiem, ale nie w tym rzecz. W obecnej sytuacji, kiedy nasz sport narciarski przeżywa głęboki kryzys, przede wszystkim my powinniśmy korzystać z każdej okazji do bardzo tanich, bo przygranicznych kontaktów z wielkim narciarstwem, no i okazji do nauki. Od naszych sąsiadów można się uczyć nie tylko sportu, ale jego organizacji i gospodarności.

Na Puchar Tatr — jak zwykle — przygotowano teczki, torby, odznaki kalkomanie, naklejki, kartki pocztowe, przepięknie wydane barwne programy z historią i wynikami imprezy, kalendarze ścienne z widokami Tatr, miniatury plakatów, ulotki z programami, piękne upominki dla uczestników, czapeczki, chusteczki, szaliki; dla dziennikarzy — bogatą informację i dokumentację z poprzednich „Pucharów". Jeśli dodać przepiękne dekoracje, znakomicie przygotowane obiekty, całą pompę jaka przynależy obecnie na świecie wielkim sportowym imprezom, tablice świetlne, bezbłędnie działającą informację, błyskawiczne podawanie wyników dzięki zastosowaniu komputera firmy „Tesla", to w końcu otrzymamy obraz imprezy, o jakiej my tylko możemy marzyć.

Mając w oczach skandaliczny wręcz poziom imprez narciarskich organizowanych po naszej stronie Tatr, po prostu się wstydziłem, zazdrościłem Słowakom.

O wynikach sportowych nie będę już wspominał, gdyż wszyscy interesujący się sportem znają je, wiedzą między innymi, że na finał Pucharu Świata w skokach narciarskich nie mogli pojechać dwaj chorzy, czołowi nasi skoczkowie Piotr Fijas i Stanisław Pawlusiak, a pozostali ze Stanisławem Bobakiem skakali bardzo słabo. Bobakowi mimo to udało się utrzymać w ostatecznej klasyfikacji trzecie miejsce dzięki wcześniej nagromadzonym punktom, co było w końcu wielkim sukcesem naszego narciarza i narciarstwa.

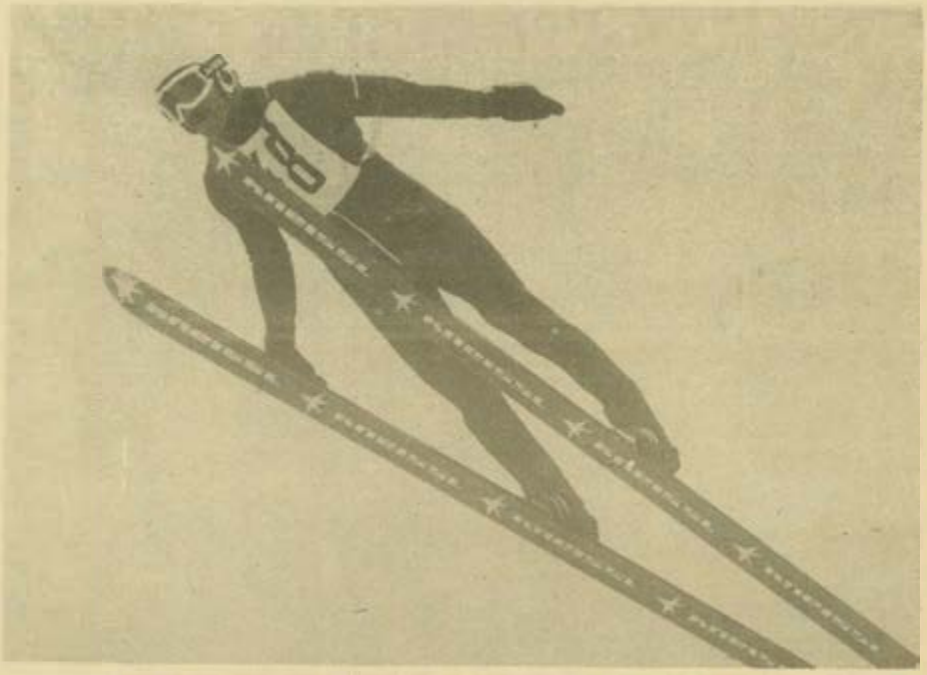

CAF — STANISŁAW MOMOT

Czołowym działaczem narciarskim słowackich Tatr jest dyrektor zespołu sanatoriów w Szczyrbskim Jeziorze inż. Karol Suchanek, który już po raz 13-ty był przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego Pucharu Tatr. To mój stary i bardzo dobry znajomy, więc mieliśmy okazję porozmawiać o wielu sprawach.

Organizacja „Pucharu" kosztuje każdego roku od 1,8 do 2 mln koron, ale organizatorzy nie czekają, aby imprezę całkowicie finansowało państwo, ale sami ruszają głowami i pokrywają koszty. Całe tabuny młodych chłopców lub dziewcząt sprzedają bilety wstępu, programy i inne okolicznościowe pamiątki, z czego jest wielki dochód. Jak oni to robią, skoro u nas nikomu nie chce się sprzedawać kart wstępu nawet na międzynarodowe imprezy narciarskie?

Przy organizacji pracuje w Szczyrbskim Jeziorze 380 osób, a razem z zawodnikami i dziennikarzami, impreza gromadzi około 700 ludzi.

Różnie bywa z publicznością, ale pomimo tego, że w pobliżu Wysokich Tatr nie ma żadnego większego miasta, na zawodach bywa od 25 do 50 tys. widzów, do czego walnie przyczynia się doskonała propaganda imprezy, no i komunikacja. 8-kilometrowa kolejka zębata łączy Szczyrbskie Jezioro z Tatranską Strbą, skąd są doskonałe połączenia kolejowe z Żyliną, Bratysławą czy Pragą oraz kolejka elektryczna łącząca Szczyrbskie Jezioro ze Smokovcem, Tatrzańską Łomnicą czy Popradem.

Wszystkie imprezy, w tym również Puchar Tatr w narciarstwie klasycznym, odbywają się na stadionie, wybudowanym na mistrzostwa świata w roku 1970, zwanym „Areal Snow".

W obrębie tego całego wiecznie modernizowanego stadionu zachodzą biegowe trasy narciarskie, używane również przez zwyczajnych turystów, dwie skocznie narciarskie, hotel „FIS" z bungalowami dla turystów, wyciąg narciarski ze stokami slalomowymi, hala sportowa z sauną oraz sobno stojąca restauracja z kawiarnią. Obecnie buduje się basen pływacki z całym wielkim zapleczem odnowy biologicznej.

Dzięki tym wszystkim urządzeniom, „Areal Snow" stał się międzynarodową bazą treningową dla sportowców, a także ekskluzywnego wypoczynku. Odwiedza go rocznie około 3 mln turystów i każdy musi płacić 1 koronę wstępu, jeśli wchodzi na teren obiektu, lecz dzięki temu jest on samowystarczalny.

W całym rejonie Wysokich Tatr słowackich mieszka obecnie łącznie z zatrudnionymi tu osobami w usługach i hotelarstwie około 10 tys. osób i rejon liczy tyleż samo łóżek dla gości w hotelach, domach wczasowych i sanatoriach. System wynajmu prywatnych kwater nie istnieje. Cały ten obszar odwiedza rocznie około 4 mln turystów.

Największą zmorą gospodarzy Wysokich Tatr stał się ostatnio nadmierny rozwój motoryzacji, ale mają swoje koncepcje ograniczenia do minimum ruchu pojazdów mechanicznych.

Wszystko zaczęło się od zbudowania ogromnego, supernowoczesnego campingu na 5 tys. osób z wielkimi parkingami pomiędzy Popradem i Smokovcem, a obecnie w Tatranskiej Strbie. Wybudowano również mniejszy camping przed Tatrzańską Łomnicą, powstaje w podbanskiej hotel-dom wypoczynkowy na 600 miejsc oraz ogromne parkingi.

Warto wyjaśnić, że supernowoczesny camping po drugiej stronie Tatr, to jednak zupełnie coś innego niż u nas. Prócz oświetlenia, kanalizacji, bieżącej ciepłej i zimnej wody, w takich obiektach są domki campingowe ze wszelkimi wygodami, specjalne stanowiska do podłączania przyczep samochodowych, są sklepy, gabinety lekarskie, fryzjernie, kina, stacje benzynowe i obsługi samochodów, punkty wymiany walut — jednym słowem wszystko, co turyście może być potrzebne. Ale tak musi być, jeśli te obiekty mają zatrzymać fale zmotoryzowanych turystów.

Gospodarze Tatr słowackich działają planowo i konsekwentnie. Jeśli będą mieli gotową sieć takich campingów z parkingami i zorganizowany transport (a do tego zmierzają), to któregoś dnia faktycznie po Wysokich Tatrach przestaną jeździć masowo samochody. My zaś będziemy zdziwieni pytać: jak oni to zrobili?

Nowosądecki Magazyn Ilustrowany „DUNAJEC" — jednodniówka KW PZPR w Nowym Sączu. Zredagował zespół: Krzysztof Dobosz, Elżbieta Glinka, Mieczysław Matras, Roman Morańda, Adam Ogorzałek, Marian Wasilewski. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6, II piętro, telefon: 203-34. Drukowano w Prasowych Zakładach Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Krakowie. H-15.

PRZYJMĘ STO TYSIĘCY

Przed wielu laty opowiadała mi babunia swą ulubioną historyjkę — ni to bajkę, ni legendę, ni fakt prawdziwy. Babunia, wstyd wyznać, miała niezbyt wyrobioną świadomość polityczną; dlatego rzecz dotyczyła wspaniałej Ameryki. Otóż pewien nasz rodak, podróżujący koleją po tamtym kontynencie, zauważył, że napis, wymalowany białą farbą w każdym przedziale, można skrócić o jedno słowo bez uszczerbku dla treści. Odpowiednie obliczenia wykazały, że w całym kolejnictwie zaoszczędzi się tym sposobem farbę za piętnaście tysięcy dolarów. Rodak poszedł ze swym wnioskiem do odpowiedniego dyrektora w zarządzie kolei, który rzecz kupił, płacąc od ręki pięć tysięcy. Kolej zyskała i człowiek zarobił. — *Czy byłoby to możliwe w Polsce?* — wzdychała niezmiennie babunia, kończąc swą opowieść.

Ano, spróbujemy.

W najbliższej okolicy Nowego Sącza istnieją cztery duże przetwórnie owocowo-warzywne: Nowy Sącz, Tymbark, Tarnów i Dąbrowa Tarnowska. Produkują c. m. in. wyśmienity dżem z czarnej porzeczki. Dżem jest do nabycia w sklepach, ale... produkowany przez przetwórnię w Łowiczu. Najwięcej dżemów, oferowanych przez handel naszego województwa, pochodzi właśnie z Łowicza oraz podwarszawskiego Tarczyna — zaś produkowane przez nas dżemy łasują niechybnie szczeciniacy i gdańszczanie.

Jest rzeczą niepojętą, w jakim celu przetwórnie w Tarczynie i Łowiczu, położone opodal Warszawy, Łodzi, Radomia itd. przywożą swe wyroby aż na Sądecczyznę. Gdyby ktoś myślał, że chodzi tu o zwiększenie asortymentu, myliłby się — gdyż dżemy są w zasadzie wszędzie podobne.

Nie podejmuję się obliczyć, ile kosztuje owo bezsensowne wożenie — ale miliony złotych na pewno. A więc nie będę chyba zbyt chciwy, żądając za swoje spostrzeżenie stu tysięcy złotych ryczałtem.

Jeśli zaś nie otrzymam tej forsy, będę się pocieszać jedynie tym, że opowieść babuni jest prawdopodobnie zmyślona.

Piękno Ziemi Muszyńskiej

Pani Krystyna Statnik z Ostrowia Wielkopolskiego, fotoamatorka, z pewnością bardzo lubi południową Sądecczyznę, skoro na konkurs „Piękno Ziemi Muszyńskiej", organizowany w 1978 roku, nadesłała interesujące zdjęcia. Jej sentyment wzrósł, gdy powiadomiono ją, że zdobyła wyróżnienie. Laureatka została zaproszona na wernisaż i rozdanie nagród w dniu 9 stycznia 1979 roku, czyli piętnaście miesięcy temu. Nie mogła przybyć na tę uroczystość, wiadomo, jaka wtedy panowała aura. No i cóż, nieobecni nie mają racji. Pani Krystyna Statnik do dziś dnia nagrody (500 zł) nie otrzymała, obiecanego katalogu również; nie otrzymała także odpowiedzi na swoje trzy listy, w tym dwa polecone. Adresatem ostatniego pisma był sam pan Naczelnik Miasta i Gminy Muszyna, który uznał widocznie, że czas zabliźnia wszelkie rany i milczenie jest złotem.

Fot. ANTONI KROH

Redaguje Antoni Kroh

Piątka ze sprawowania

Chcesz być czymś w życiu, to się ucz, abyś nie zginął w tłumie; nauka — to potęgi klucz, w tym moc, kto więcej umie — pisał zapomniany dziś poeta, Ignacy Baliński. A więc razem, młodzi przyjaciele! Nabywajcie umiejętności, które się Wam z pewnością w dorosłym życiu przydadzą. Pamiętajcie, że w owej trudnej sztuce samokształcenia możecie zawsze liczyć na pedagogów, Waszych wypróbowanych przyjaciół i sojuszników.

— Zanim odpowiem, chciałbym się zapoznać z opinią kolegów.
„Krokodil"

Za co np. dostaje się piątkę ze sprawowania? Ot, po prostu za kombinowanie lipnych zaświadczeń.

Dzieci szkolne mają obowiązek przepracowania kilkudziesięciu godzin w tzw. czynie społecznym. Cóż to jest czyn społeczny? Umycie okien w budynku szkolnym, praca w przyszkolnym ogródku? Nie, to się nie liczy. Dziecko powinno odpracować swe godziny w jakimś biurze, zakładzie produkcyjnym czy w gospodarstwie rolnym.

Młodzież wiejska ma w domu „czyn społeczny" świątek i piątek. W mieście zaś sprawa wygląda nieco inaczej. Dla każdego szefa instytucji pętające się bachory są jednym wielkim zawracaniem głowy, dodatkowym utrudnieniem w pracy. Ich obecność jest zbędna lub nawet szkodliwa, a jeśli nawet przydziela się im, z łaski na uciechę, jakieś zajęcie, najczęściej jest to robota pozorna, bezużyteczna, a więc antypedagogiczna. Rzecz jasna, wiele instytucji nie może na swój teren wpuszczać dzieci — trudno sobie np. wyobrazić pachołęta, porządkujące pieniądze w banku, wynoszące baseny w szpitalu lub pomagające panu zawiadowcy w odprawie pociągów. Gdy porównamy liczbę uczniów szkół podstawowych np. w Nowym Sączu z liczbą instytucji, które mogą zatrudnić nasze pociechy w rozsądny sposób, musimy dojść do jednoznacznego wniosku: ogromna większość zaświadczeń o przepracowanych godzinach zawiera zwykłą bujdę.

Rzecz najsmutniejsza: sami nauczyciele ową bujdę inspirują. Gdy naiwna matka przychodzi do szkoły po poradę, gdzie jej Jacuś albo Basia mają przepracować swe obowiązkowe godziny, słyszy odpowiedź: — *Mamy w szkole 400 dzieci, nie jesteśmy w stanie zorganizować im pracy społecznej. Ale nie wie pani, co robić? Załatwić zaświadczenie, załatwić gdziekolwiek!* Ponieważ każdy ma gdzieś znajomości, więc sprawa najczęściej na tym się kończy; lecz gdy rodzic pyta, po co utrzymywać fikcję i uczyć dzieci zakłamania, dowiaduje się, że istnieje współzawodnictwo międzyszkolne, że nauczyciele są z tego rozliczani w kuratorium itd.

A więc dla własnych, partykularnych celów, nie mających nic wspólnego z wychowaniem młodzieży, nauczyciele uprawiają działalność pozorną. Co na tym zyskują? Uznanie przełożonych, święty spokój, może jakiś dyplom za zajęcie pierwszego miejsca?

Kodeks drogowy Anno 1924

Oto treść ogłoszenia Rady Gminnej Zakopanego z lata 1924 roku: *„Wzywa się PT Właścicieli samochodów, aby przez ulice uzdrowiska jeździli w normalnym tempie, nie chcąc wywoływać prowokacji ludności, która nienawidząc tego rodzaju lokomocji, wywołuje najrozmaitsze wybryki.*

Naczelnik gminy wz. St. Roj"

Stare, dobre czasy! Dzisiaj samochodów jest tyle, że zdominowały ulice, powietrze, całe nasze życie. Niestety, żadne „wybryki" już niczego nie zmienią.

Nieuleczalna choroba

Pewna pani doktor, mieszkająca na Podhalu, wzięła z nowotarskiego banku pożyczkę na budowę domu. Spłacała grzecznie raty, miesiąc w miesiąc — aż po reformie administracyjnej zlikwidowano „jej" bank. Pani doktor usiłowała ustalić, co się stało z jej dokumentami i komu ma wpłacać następne raty. Jeździła w tej sprawie do Nowego Targu, Nowego Sącza i Krakowa, ale nie dowiedziała się niczego. Nikt, po prostu nikt nie chce od pani doktor jej pieniędzy.

— *No to bez łaski* — mówię. — *Nie chcą, to niech pani nie płaci.*

— *Wolne żarty* — odpowiada pani doktor. — *A co będzie, gdy po dziesięciu latach odnajdą moje papiery, naliczą odsetki i zlicytują mi dom? Nie będę pewna dnia ani godziny. Zresztą jestem kobietą akuratną; pożyczyłam pieniądze, więc chcę oddać.*

— *Niechże więc pani składa pieniądze w depozycie sądowym.*

— *Ja to będę załatwiać, a pani niech w tym czasie leczy moich pacjentów* — odpowiada pani doktor zdenerwowanym tonem.

Homer w bukowych portkach

W czasach wielkiej mody na zakopiańszczyznę porównywano Podhalan do starogreckich herosów. Pisało na ten temat wielu wybitnych literatów — jak choćby Stanisław Witkiewicz, który m. in. przełożył na gwarę podhalańską opowiadanie Lwa Tołstoja. Najdalej jednak chyba zaszedł w „homeryzacji" górali Michał Pawlikowski, głoszący pogląd, że gwara spod Giewontu jest „jedyną polską mową epicką". Miał on zamiar przetłumaczyć z polskiego na góralski całą Iliadę; oto, dla przykładu, początek:

Panno Święta! Ty sama zaswiadcz,
jako było
Wtedy, kiedy pasyją rozserdził
się wściekłą
Peleusowy Achil. Tak się porobiło,
Ze moc od gniewu tego zacnej
krwie pociekło
I poniejedne zycie chłopa ostawiło
Psom i hawraniom i precz
wędrowało w piekło.
Tak już Bóg chciał od kiedy
gniewy swoje kida
W nogach wartki Achilles i harnaś
Atryda.

Niestety (a może na szczęście) Pawlikowski poprzestał na niewielkich fragmentach Iliady.